DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK

ROK I. Nr. 12.

GRUDZIEŃ 1925.

CENA EGZEMPLARZA: 60 groszy.

DZIŚ I JUTRO

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ.

ROK I. GRUDZIEŃ 1925. № 12.



NIEPOKALANA —
TOBIE CZEŚĆ.

POPOŁUDNIOWEJ SZARZYZNY GODZINĄ...

Popołudniowej szarzyzny godziną.
Za śniegiem tęsknię. — — —
Dzień oropiały zgniłą mgłą i smutkiem
po czarnych smrekach pomrokę rozpina,
po reglach sieje cicho dżdżem drobniutkim.
Giewont ugrzęznął gdzieś w zmąconych
[chmurach...
ciężkość i szarość przelewa się nudnie...
gdzieś głodne wrony o przemokłych piórach
lecą w grudniowe, martwe popołudnie.

* * *

Za śniegiem tęsknię...
O śniegu! O bieli!
O liljowe gołębicze puchy:
Kiedyż zlecicie jako białe duchy,
kiedyż się czysty całun wasz rozścieli,
roziskrzy zimnym żarem diamentów,
rozkwieci sadów kwitnącem wspomnieniem,
i — chłonąc blady błękit z firmamentów,
w załamach modrym rozniebieszczy cie-
[niem?

Za śniegiem tęsknię...
brał go będę w dłonie,
i spalonymi wargami całował,
o chłodne jego puchy otrę skronie,
i, zapatrzony w śnieżynki — baśń snował
o tem, jak białe, kwitnące jabłonie
Mróz, witeż zimny, pod srebrny płaszcz
[schował,
i śpiewał będę ciche, długie hymny
smrekom o zmierzchu w śniegi otulonym,
gdy las stał będzie milczący i zimny,
zaczarowany księżycem i szronem...

* * *

Popołudniowe, głuche zmierzchy mętne...
patrzę w świat oknem parą ust zasnutem.
Błoto ulicy grząskie, lepkie, wstrętne,
chlapie pod ciężkim gdzieś przechodnia
[butem,
bryzga zbełtane, cuchnące i brudzi
posoką ropną brnących w mazi ludzi...

Śniegu mi braknie. —
Patrzę. — — — żal dziwny w serce gdzieś
[zacieka.
Martwota, błoto, plucha... A dziś święto
NIEPOKALANEJ... —
[Dusza śniegu czeka,
białego śniegu, by ziemię zziębniętą
i owrzodziałą kałużami, odział
jak z lnu utkany przeczysty samodział.

* * *

Za śniegiem tęsknię! O śnieg dusza woła!
bo mi się zdaje, że tam, na ulicy
to błoto chlapie, aż na ludzkie czoła
i spływa grząskie po ludzkiej prawicy,
na oczy pada i piersi przeżera
i w serca wsącza się jak lepkie jady...
bo mi się zdaje, że świat błotem wzbiera,
a ludzie w błocie tem pełzną jak gady
blade, plugawą kałużą nalane... —

O śniegi! śniegi — śniegi nieskalane!
Pragnę was! — Spłyńcie z chmur i świat
[ubielcie,
zasypcie grubo te kałuże błotne
i wszystkie oczy jaśnią rozweselcie,
jak róże białe łzami ros wilgotne...
Może się myśli w was wykąpią ludzkie
i w bieli waszej serca się oczyszczą
i łzy — jak wielkie perły kałakuckie
blaskiem nabranym z was — w oku za-
[błyszczą.

A dusza idąc poprzez śnieżne hale
przez śnieżne turnie hen, ku śnieżnym [polom
sen biały pocznie śnić o ideale
i błogosławić dolom i niedolom...

A może w sennem jaśnieniu miesiąca
dopatrzy wreszcie jak z gór białych zboczy,
w doliny — cicha, dobra i kojąca
NIEPOKALANA miłościwie kroczy...
A może wreszcie za wizją jej jasną
po modrych śladach, dusza pójdzie za Nią,
jak za swą białą, wiekuistą Panią,
w perliste świty — gdzie gwiazd ziarna [gasną?...

* * *

Popołudniowej szarzyzny godzina — —
Martwota, błoto, plucha... Myśl znękana...
Smutek mgły mżące po reglach rozpina...
Za śniegiem tęsknię...

. . . .

O NIEPOKALANA... —

Jan Art.

WEZWANIE.

Cała Polska chyli się kornie u stóp mogiły „Nieznanego Żołnierza“, cała Polska oddaje hołd tej wielkiej, wspólnej, męczeńskiej mogile — złożone są tam kości bohaterów za wolność i niepodległość.

Cichy, mroczny Dzień zaduszny — ciche, narodowe święto!

Chylą się sztandary, odkrywają głowy przed tą bolesną trumną żołnierską, a do kielicha cierpień spływają łzy ostatnie, bo ten „Żołnierz Nieznany“, którego pamiątkę obchodziliśmy, to nietylko ten, który zginął w ostatniej walce pod murami Lwowa, ale wszyscy żołnierze i męczennicy sprawy ojczystej, w całym okresie powstań i prześladowań — z pod Racławic, Maciejowic, z pod Olszynki Grochowskiej, z Syberji i twierdz rosyjskich, ci wszyscy nieznani z imienia, ale znani z tego, że mieli miłość ojczyzny i wielkiego ducha Walczyli za niepodległość, spoczęli spokojnie po dokonaniu męczeńskiego żywota. Cześć Ich pamięci.

Chylimy kornie głowę u stóp Ich mogiły w hołdzie wdzięczności, a nie słyszymy, że od tych grobów na polskiej i obcej ziemi rozsianych, idzie jedno wielkie wołanie: „Pracujcie, nie ustawajcie w pracy, bo dzieło jeszcze nie skończone“.

Polska w niewoli wymagała ofiary z życia, Polska niepodległa żąda ofiarnego życia.

Wszyscy jesteśmy powołani do tego, by być „nieznanymi“ Polski żołnierzami, tylko praca nasza i walka i zadania nasze inne.

Nie odzyskać byt niepodległy, ale go utrzymać. Ciężkie, bardzo ciężkie zadanie dla tych, co zostali i dla tych, co przyjdą po nas, młodszych braci poległych.

Mówią do nas ciche groby żołnierskie — dźwignąć się trzeba z kolan, otrzeć łzy i jąć się czynu, pracy twórczej dla Polski, pracować zawsze, wytrwale, codziennie, by dorównać tamtym w harcie ducha i w miłości.

To wam, bojownicy wolności, na waszym grobie przysięgamy i po tej drodze iść chcemy!

Jadwiga Markowska.

STARE KANTYCZKI.

Artykulik niniejszy był pisany przed sześciu laty, dla własnej rozrywki, bez myśli o druku.

Było to na Wołyniu, w zajętym przez bolszewików Starokonstantynowie. Dni wlokły się rozpaczliwie nudno i szaro, w oczekiwaniu najgorszego. Stara kantyczka naszej kucharki, tak niezmiernie daleka od wszystkiego, co się działo wokoło, dawała słodkie chwile zapomnienia. Spisywałam myśli, które mi czytanie jej nasuwało, ot tak, dla zabicia czasu.

Dziesięcio-miesięczna pokuta pod panowaniem bolszewickiem minęła, i udało nam się jesienią 1919 roku przedostać do Lwowa. — Lwów zaledwie zdążył ochłonąć po niedawnej obronie i pełno w nim było niezagojonych śladów walk, podziurawionych domów i pełnych glorji rumowisk. Dyszał chwałą i niewygasłym gniewem, a zarazem srogą biedą materjalną. Podobno byli paskarze, którym się nawet wtedy dobrze działo, powtarzam to jednak na wiarę opowieści, między naszymi znajomymi bowiem nie było nikogo, ktoby nie spędzał połowy swych dni w tym, albo innym „ogonku“. Ogonków tych było dużo, o wiele za dużo. Ogonek o chleb, o mięso, o sól. o zapałki, o cukier... Stanowiły one nielada lekcję cierpliwości. Opuściwszy z westchnieniem ulgi ogonek jeden, przechodziłam unosząc zdobyty dziesiątek zapałek, do drugiego. Tam, pozdrowiwszy zażyłe już ogonkowe znajome, stawałam czterdziesta, albo pięćdziesiąta w rzędzie, mając dość czasu na rozmyślanie. Rozmyślania te krążyły zazwyczaj koło sytuacji materjalnej i zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia. Tych ostatnich zwłaszcza. Cichem mem marzeniem było móc sprawić moim dzieciom gwiazdkę, — pierwszą w ich życiu, — bo biedne bączki urodziły się i wzrosły wśród zawieruchy wojny i rewolucji, gdzie nie mogło być miejsca na „drzewko“. Nie mieli dotąd innych zabawek niż te, które im sama zrobiłam, i wyszedłszy na miasto rozpłaszczali sobie godzinami noski o szyby wystaw sklepowych, w niemem zachwyceniu. Móc im nareszcie coś kupić! — Było to marzenie mogące skrócić czekanie w ogonku, lecz nie mające żadnych danych na urzeczywistnienie się.

A jednak!

Zdarzyło się, że pewien bardzo zacny i życzliwy człowiek, przeczytawszy wypadkiem niniejsze „kantyczki“, zamyślił się i rzekł:

— Czemu pani nie da tego do druku? Znam redaktora „Słowa Polskiego“, poproszę go, aby przeczytał — a po chwili dodał:

— Powinna pani dostać za to co najmniej dwieście koron.

— Dwieście koron!!

Nie spałam z wrażenia całą noc. Przepisałam coprędzej najczytelniej mój artykuł i zaniosłam go zacnemu człowiekowi, który ze swej strony poszedł prosić tak groźną potęgę jak samego pana redaktora, aby zechciał moją pracę przejrzeć.

Po kilku dniach emocji i zaczętej nowennie, z redakcji dano mi znać, abym przyszła. Popędziłam bez tchu prawie. Wszystkie wrażenia i trwogi „chudych literatów“, przeżyłam owego dnia. Ze wstydem jednak przyznaję, że wszelka ambicja autorska była odemnie daleką. Chodziło mi o pieniądze, tylko o pieniądze, o te dwieście koron, mogące spaść niby z nieba i przekształcić się w drzewko i prawdziwą „gwiazdkę“. Ale pan redaktor wyszedł. Kilku

innych panów spojrzało na mnie bardzo wyniośle i kazało przyjść nazajutrz.

Przyszłam pokornie nazajutrz, o pół godziny przed oznaczonym terminem. Kazano mi odejść, bo bylo za wcześnie. Przyszłam po pół godzinie — było już za późno. Chodziłam tak cztery czy pięć razy, zmiażdżona coraz to zimniejszemi spojrzeniami całego zespołu redakcyjnego, zgorszonego mem natręctwem. Po drodze do redakcji, ze sklepu na Akademickiej, koń na biegunach spoglądał ku mnie z za szyby uporczywem szklannem okiem. Wpływ tego spojrzenia był fascynujący. Tego konia dostać dla moich dzieciaków...

Krysia z bajki Andersena nie marzyła tak o swoich czerwonych trzewiczkach, jak ja o jego czerwonych biegunach.

Po długich dniach strasznej niepewności, wytrwałość moja nabyta w ogonkach, znużyła całą redakcję. Pewnego dnia, niewidzialny dotychczas redaktor wynurzył się z sanktuarjum.

— Ostatecznie, możemy przyjąć ten artykuł — rzekł — pieniądze otrzyma pani zaraz po skończeniu druku.

— — — — — — — — —

Jakkolwiek świadczyć to może o niesłychanej interesowności z mej strony — muszę przyznać, że nigdy później, żadne powodzenie literackie — nie ucieszyło mnie tak jak te słowa. — Dzieciaki moje będą miały konia!! — Drzewko prawdziwe, porządne zapewnione!

„Kantyczki“ wyszły rzeczywiście w parę dni później, coprawda niemiłosiernie poskreślane i poprzerabiane — (Trudno wymagać, by ołówek redaktorski ceremonjował się z tak mało znaczącym utworem, tak mizernie wyglądającej autorki) — nazwisko zaś moje przekręcono na „Szerucka“, jako Szerucka zatem weszłam do literatury. Były to jednak drobiazgi, nie mogące popsuć mi radości.

Koń ów, pierwsze moje honorarjum, istnieje dotychczas. Niema już wprawdzie uszu i ogona, z pary pięknych szklannych oczu, o źrenicy podłużnej jak u kozy, — pozostało mu tylko jedno, — kolor ma szarawo-brunatny, w dotknięciu jest lepki, — trzyma się jednak jeszcze nieźle na swoich biegunach. Przed paru zaś dniami, przerzucając stare papiery, napotkałam ów zapomniany dawno artykulik, który biedną Szerucką kosztował tyle emocji.

* * *

Śledząc za przejawami myśli narodowej, zdarzało mi się nieraz spotykać prace, których autorzy silili się, na takiej to a takiej liczbie drukowanych stronnic oddać obraz i całokształt Duszy Narodu Polskiego. — Zabierali się oni do tego dzieła z powagą i umiłowaniem, nie zaniedbując żadnego źródła, nie omijając żadnego ze słupów przydrożnych, mogących im dopomóc w kroczeniu drogą właściwą. To też nieraz, mając w ręku te dostojne księgi, w których człowiek starał się wydrzeć duszy swojego narodu, jej istotę i nazwanie, — dziwiłam się, czemu, wszyscy oni prawie, zaniedbują tak ważny węgieł budowlany, tak pomocny próg wejściowy, — jakimi są dawne kantyczki, czyli pospolicie tak zwane kolendy. Trudno było określić skąd poszła przyczyna powszechnego niedoceniania tej odrębnej i bujnej gałęzi poezji ludowej [1]). Dla dni przedwczorajszych powodem wystarczającym była jej religijność, — ale dla dzisiejszych? — Błąd miniony czy złą wolę, nad któremi kolej rzeczy potoczyła się porządkiem dziennym, — należałoby naprawić, tembardziej, że kilkanaście lat jeszcze, a będzie na to zapóźno. Już dzisiaj dawne „Kantyczki“,

---

[1]) O ile wiem posiadamy jedną tylko, ale bardzo piękną, rozprawę o kantyczkach, pióra St. Tarnowskiego.

pożółkłe, zniszczone, śmiesznie pękate książeczki, zawierające około 400 kolend i pieśni, stają się coraz to rzadsze. Ostatnie wydanie, wykonane nakładem XX. Misjonarzy krakowskich, jest już dawno wyczerpane, a nowe wydania obejmują tylko te kolendy, które są dzisiaj jeszcze w powszechnem użyciu, odrzucając najcenniejsze z 16 i 17 wieku.

Pierwszą zasadniczą cechę kantyczek stanowi ich oryginalność. Wniknąwszy w nie głębiej nabiera się przekonania, że takie jak są nie mogły powstać gdzieindziej niż w Polsce, na glebie będącej połączeniem dwóch pierwiastków: religji katolickiej i piastowskiej duszy polskiej. Kantyczek podobnych naszym nie posiada żaden inny naród. — Śpiewy kościelne okolicznościowe, lub stare, piękne i naiwne pieśni religijne, popularne wśród ludu we Francji, Niemczech południowych, Irlandji, — nie mają nic wspólnego z bogatą samorodną twórczością ludową, która jest istotą kantyczek polskich. Jakże mogłoby być inaczej? Aby kantyczki utworzyć trzeba było, z jednej strony mistycznej, bujnej, wspaniałej religji katolickiej, — z drugiej czysto aryjskiej, chłopięco prostej, beztroskiej Duszy słowiańskiej, o błękitnych oczach. Tylko ta Dusza, jedna w całym świecie zdolną była tak ukochać Najwyższe Święte Imiona, — tak ufnie Je przyjąć do serca swojego, by stały się one dla niej czemś rodzonem, swojem i najbliższem w świecie. Tylko ta Dusza, — jedna z pośród wszystkich, — zdolną była na potężnych, choć gołębich, skrzydłach, wznieść się dość wysoko, by Boga, — Słowo Wcielone, przyjąć za swoje najmilejsze dziecko i Tajemnicę Najwyższą włączyć do życia swego, bez zdziwienia.

Wszechobecne, Nienazwane, Niepojęte i Wszechmocne, — „co się przez myśl pomyśleć nie da, lecz przez co sama myśl pomyślaną jest“ — stało się dla tych dusz prostych słodkiem i jasnem dziecięciem, które każdy wziąść w rękę i upieścić może.

W tej rozbrajającej poufałości z Nieskończonością i Celem Wszechrzeczy, nie było jednak lekceważenia, ani pomniejszania Bóstwa. — Ci wszyscy, którzy twierdzą, że stosunek starych kantyczek do Boga „razi“ uczucia religijne i cześć winną Stwórcy, nie znają ich dobrze, lub nie starają się wniknąć głębiej, po za osłonę słów, czasem rubasznych. Zapewne, że przyśpiewek taki n. p. jak: „funda, funda, funda, tota risibunda!!“ umieszczony wśród pieśni kościelnej, wywołuje dzisiaj uśmiech, — ale trzeba patrzeć dalej. Łatwo wtedy spostrzec przepaść, oddzielającą lekceważenie Majestatu od ufnej pewności z jaką najmłodsze dziecko, czując się najmocniej kochanem, pnie się na kolana potężnego Ojca i splata mu ręce na szyi. — To zaś właśnie, nieświadome, lecz głębokie przeświadczenie ludu Polskiego, że jest ukochanem dzieckiem Boga i centrum zbawienia, przebija z każdej kolendy. — Inne narody wprawdzie istnieją na świecie, — wzywa się nawet czasem tych „Herodowych poddanych“ aby szli złożyć hołd Dziecinie:

„O narody, poczujcie się, do Chrystusa [śpieszcie się,
Mongoł z Indyjany, Doniec z Baktryjany,
Stare Scyty — z Mechabity,
Grek z Ormiany, — Afrykany,
Pers z Arabą, — Murzyn z Sabą,
Jednym torem i taborem
Wędrujcie“.

Ale Jezusek narodził się tylko w Polsce i jest Bogiem wyłącznie polskim. Polscy pastuszkowie doń biegną, polski śnieg leży na dachu stajenki, polskie gwiazdy nad nią świecą i polskie ptaki schodzą się witać Dzieciątko. A gdy stroskani pasterze, Jacek, Stach, i Wa-

lek, nie wiedzą którędy bieżeć do Betleem, poucza ich starszy Werdal, który z Aniołem rozmawiał:

„Ot, trzeba iść do Wieliczki, potem do Pińczowa,
A z Pińczowa na Bielany, potem do Głogowa.
Zaś z Głogowa do Mogiły będzie już pół drogi,
(Weźmiem z sobą ze dwa sadła by smarować nogi),
Zaś z Mogiły do Szkalmierza a potem na Tyniec,
A zaś z Tyńca do Betleem, to już drogi koniec"

Kolend ludowych posiadamy niezliczoną ilość. Boże to ziele kwitło i bujało na całym obszarze Rzeczypospolitej, a jeśli gwara i wyrażenia małopolskie mają znaczną przewagę wśród tego zbioru, — to nie brak w nim również litewskich, ukraińskich śląskich, kurpiowskich, ba, nawet kaszubskich, a gdy oczy padną na takie n. p. słowa:

„O dyć hań Janieli latają jak ptacy" —

to zda się, że szerokiem skrzydłem powiał wiatr od gór tatrzańskich.

Najcelniejszą wskazówką w określaniu pochodzenia kolend, są imiona pasterzy, które wybierano z pewnością z pośród najpopularniejszych w danej okolicy. Obok imion fantastycznych, przypominających dawną commedia dell'arte, jako to: Gryzoń, Maścibrzuch, Cedzimlek, Furgoł, Kwicołap i t. p. — spotykamy imiona uderzające swą różnorodnością. Obok mazurskich (Stacho, Walek, Maciek, Bartek, Jacek), śląskie, (Ondrasz, Jónek, Jontek, Frącek) — litewsko-żmudzkie (Jonas, Gryl, Pieś), rusińskie (Hrycko, Waśko, Kuźma, Fedor), i wielkopolskie (Krysek, Idko, Symek).

Ogromne bogactwo narzędzi muzycznych, spotykane w poważnej liczbie kolend, zdawałoby się świadczyć o większem niż dzisiaj umuzykalnieniu naszego ludu? Dziwacznie poprzekręcane nazwy instrumentów, dają ciekawe wskazówki względem wpływów i mody panującej w danej epoce, oraz pomagają ustalić datę powstania kolendy.

Włoski obyczaj wprowadzony przez dwór Bony wyrugował na pewien czas klasyczne multanki, organki, kobzy, dudy, basetle, cymbały i powszechnie używane luteńki, — w najprostszych nawet kolendach umieszczając dystyngowane viole, amorki, „tubmuryny" — (tamburino) oraz harfy. Zdrowy rozsądek ludowy szedł za tym ogólnym pędem, lecz uśmiechał się sam ze siebie, czego dowodem kolenda, opisująca jak to Kryś, chcąc zagrać Jezuskowi pięknie i „po polsku", nałapał kotów i kręcąc je za ogony „ciął jak po włosku z fagotów".

Kresy wzbogaciły muzyczny dorobek kolendników, przez szałamaje, drumle, krzywonosy i bandury.

Wpływ francuski widoczny jest w fajfrach, fagotach, kornetach, regalach. Niemiecki w waltorniach, sztorcach, mutetach, surmerkach. — Niektóre z tych nazw były dla autorów kolend tylko pustym dźwiękiem, bez cech bliżej określonych, dowiadujemy się bowiem z jednej z nowszych kolend, że:

„Maciek dmuchał w pozytywę". —

* * *

(Dok. nast.) *Zofja Kossak-Szczucka.*

ZARYS ROZWOJU CHEMJI.

(Ciąg dalszy).

IV. Czasy Lavoisier'a.

Epokowe spostrzeżenia Lavoisier'a wprowadzają ścisłe pojęcie pierwiastka jako ciała niedającego się rozłożyć na bardziej pierwotne składniki. Pierwszorzędną rolę w badaniach chemicznych odgrywa *tlen* i jego połączenia. Pierwiastki dzielą się na *metale* i *niemetale*.



Ludwik Galvani.

Rozwojowi chemji sprzyjała jej nieodrodna siostra fizyka. W r. 1791 Ludwik Galvani, lekarz w Bolonji spostrzega, że mięśnie żaby za dotknięciem skalpelu drgają dziwnie — na podstawie tego twierdzi, że zwierzęta posiadają specjalny fluid — elektryczność zwierzęcą.

Twierdzenie jego obala genjalny fizyk włoski Aleksander Volta, dowodząc, że bez współudziału biednej żaby można wywołać zjawiska elektryczne przez zetknięcie dwóch metali z kwasem. Badania Volty wzbudziły niebywałe zainteresowanie w całej Europie. Ktokolwiek posiadał parę monet miedzianych i srebrnych, czuł się w obowiązku budowania „stosów Volty". Prąd w ten sposób uzyskany miał służyć do najrozmaitszych celów — leczyć choroby, obdarzać ludzi zdolnościami przeczuwania obecności metali, a nawet ludzi, słowem, tworzyć cuda, jakie dziś jeszcze wmawiają w łatwowierny ogół medjumiści, spirytyści itp. Nie zabrakło na szczęście ludzi, którzy swemi pracami pchnęli na tory naukowe spostrzeżenia nad prądem galwanicznym.

Jednym z tych ciekawych uczonych był H u m p h r y D a v y. Urodzony dnia 17. grudnia 1778 r. w maleńkiej wiosce kornwalijskiej w Anglji z ubogiej rodziny, będąc w szkole, interesował się specjalnie chemją, jakkolwiek pomiędzy jego utworami młodzieńczemi nie brak rozpraw filozoficznych, religijnych, politycznych, a nawet poezji.



Aleksander Volta.

Po różnych kolejach życia, poświęca się wyłącznie chemji.

Największą doniosłość mają jego badania nad prądem elektrycznym i użycie go do analizy chemicznej. Pierwsze doświadczenia, zmierzające do rozkładu wody, zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, późniejsze — pozwoliły Davy'emu obalić twierdzenie, jakoby do istoty kwasu należał tlen. Chlorowodór uważano podówczas za połączenie wodoru z tlenkiem „muru". Davy dowiódł niezłożoności chloru, zachwiał stanowiskiem tlenu jako „*kwasorodu*", a legendarne „murium" skazał na banicję ze społeczeństwa pierwiastków. — Wygnańcę ukryli pod swoje skrzydła konserwatywni farmaceuci, do dziś dnia nazywając w swojem słownictwie kwas solny: „*acidum muriaticum*".

Popularnym wykładom mistrza nikt chyba nie przysłuchiwał się z takiem zainteresowaniem, jak Michał Faraday. Syn kowala z wioski położonej tuż pod Londynem, po śmierci ojca wcześnie musiał rozpocząć pracę



Michał Faraday.



Humphry Davy.

zarobkową dla utrzymania rodziny. — Uczył się oprawiać książki, przy czem czytał każdą. Początkowa lektura była bez ładu i wyboru, wkrótce jednak wyłączne zainteresowanie młodego czeladnika obudziła fizyka i chemja. Wykłady Davy'ego o chemji, na które nasz introligator poszedł za pożyczonego szylinga, wywarły wpływ decydujący na jego przyszłe losy. Napisał list do Davy'ego, że chce poświęcić się nauce. — Davy przyjął go do laboratorjum, gdzie, stosownie do umowy, „musiał co tydzień odkurzać wszystkie przyrządy i modele, oraz zmywać i czyścić naczynia szklane". Przez dwa lata towarzyszył Faraday swemu mistrzowi w jego podróżach, musiał spełniać różne posługi i znosić humory wyniosłej pani Davy, ale czemże to było w porównaniu z możnością poznania nowych kierunków naukowych i zetknięcia się z ludźmi uczonymi?

Po powrocie do Londynu, rozpoczyna Faraday pracę samodzielną słynnem skropleniem chloru. Davy zazdrościł sławy swemu asystentowi — on jeden odmówił mu przyjęcia na członka „Towarz. Królewskiego“. — Faraday przeciwnie, zawsze zachował pierwotny entuzjazm dla swego mistrza — pracami swemi kontynuował jego dzieło.

Davy'emu zawdzięczamy jakościowe zbadanie zjawisk elektrolizy, Faraday'owi ilościowe. On pierwszy dowiódł, że: 1) jednakowe ilości elektryczności rozkładają zawsze jednakowe ilości materji, 2) ilość rozłożonej substancji jest wprost proporcjonalna do ilości elektryczności, 3) ilości rozmaitych ciał, ulegających rozkładowi pod wpływem jednakowych ilości elektryczności pozostają w tym samym stosunku, w jakim się znajdują ich równoważniki chemiczne. On wreszcie wprowadził do elektrochemji pojęcie jonu jako roznosiciela ładunków elektrycznych w roztworach.

Odkrycia Lavoisier'a rozbudzają silny ruch naukowy we Francji. Thénard i Gay Lussac badają procesy odbywające się w ciałach roślinnych i zwierzęcych — za nimi podążają uczeni niemieccy, zwłaszcza Liebig i Wöhler. Obaj niezależnie od siebie, wykonują analizy; jeden kwasu piorunującego, drugi cjanowodorowego, obaj wątpią wzajemnie w dokładność swoich badań, które sozstrzyga Berzelius, ówczesny uczony chemik i przekonuje, że obaj mają rację — pracami swemi stwierdzili fakt istnienia ciał o jednakowym składzie chemicznym, a różnych własnościach, zwany przez Berzeliusa *izomerją*. — Liebig zrozumiał, że chemja jest nauką doświadczalną i jako taka powinna być czerpana nie z martwych wykładów, nieurozmaiconych, jak na owe czasy pokazami, ani jedynie z książek, lecz przedewszystkiem opierać się musi na obserwacji zjawisk, wywoływanych przez ucznia w pracowni. — Założenie pracowni chemicznej przez Liebiga, wprowadza zasadę indukcji do nauki — rosną i rozszerzają się pracownie nietylko nauk przyrodniczych, ale za ich przykładem nauki humanistyczne: filozofja czy historja, prawo, czy filologja, przyjmują metodę nauk praktycznych w t. zw. seminarjach.

Podczas gdy Liebig zajmuje się analizą jakościową i ilościową ciał, Wöhler pracuje nad syntezą, a otrzymawszy w r. 1828 w probówce mocznik, obala wiarę w *siłę życiową*, konieczną do wytworzenia związków istniejących w organizmach żyjących. Odtąd rozpoczyna się olbrzymi wzrost chemji, niesłusznie zwanej *„organiczną“*, a właściwie chemji związków węgla. Liebig w poszukiwaniu za *„resztą“*, t. zn. częścią niezmienną alkoholu, natrafia na chloroform i cholar, narkotyki, które odegrały niezmiernie doniosłą rolę w nowoczesnej medycynie, a zwłaszcza chirurgji. — Wöhler udowadnia istnienie „wodnika“ *benzoilu*, stanowiącego niezbędną część ciał aromatycznych. Na starość Liebig osiadł w Monachjum i tu unaocznia na własnym kawałku ziemi możność przywracania wyjałowionej roli pierwotnej wydajności, przy pomocy sztucznych nawozów, przynosząc tem nietylko rolnictwu, ale i przemysłowi niezmierne korzyści.

Ogromnie częstem jest w chemji zjawisko współpracy dwóch uczonych, nieraz nieznających się wcale, rozdzielonych setkami mil, obcych sobie narodowością i wiarą, a złączonych wysiłkiem umysłowym, skierowanym ku temu samemu celowi.

(C. d. n.) *M. Aa.*

ZABYTKI ZAWADY.

W zachodniej części Podkarpacia, na przejściu na nizinę leży szereg ważnych miejscowości nad rzekami, dopływami Odry i Wisły, połączonych koleją Bogumin—Kraków—Przemyśl. Na tej linji znajduje się pośrodku między Krakowem a Przemyślem miasto Dębica nad Wisłoką.

Niespełna 6 kilometrów na wschód w stronę Ropczyc przy głównym gościńcu jest położona wieś Zawada, ośrodek włości hr. Raczyńskich, interesująca ze względu na swoje zabytki: starożytny Kościół i ruiny zamku.

Zawada słynie już od XVII w. z cudownego obrazu N. P. Marji w tamtejszym kościele parafjalnym. Obraz pochodzi z XVI w. i jest kopją obrazu M. Boskiej Snieżnej, który znajduje się w kościele Maria Maggiore w Rzymie, w kaplicy Borghesów. Zrazu pomieszczony w drewnianej kaplicy, został przeniesiony do kościoła wzniesionego w połowie XVII w. przez dziedzica Zawady, Achacego Ligęzę. Kościół ten jednonawowy, zbudowany z cegły i kamienia w stylu romańskim, bez wieży, z 2 kaplicami dotrwał dzisiejszych czasów. W XVIII w. zmieniała Zawada kilkakrotnie właścicieli aż z ręką Radziwiłłówny przeszła w r. 1819 do Raczyńskich i jest w ich posiadaniu po dzis dzień. W r. 1863 przedsięwziął hr. Atanazy Raczyński restaurację kościoła, dając mu strop bazylikowy, prawdziwą ozdobę świątyni. Napis umieszczony wtedy pod chórem głosi o pochodzeniu kościoła i zamku z XIV w., a może jeszcze wcześniejszem, co w odniesieniu do kościoła jest mylną wiadomością.

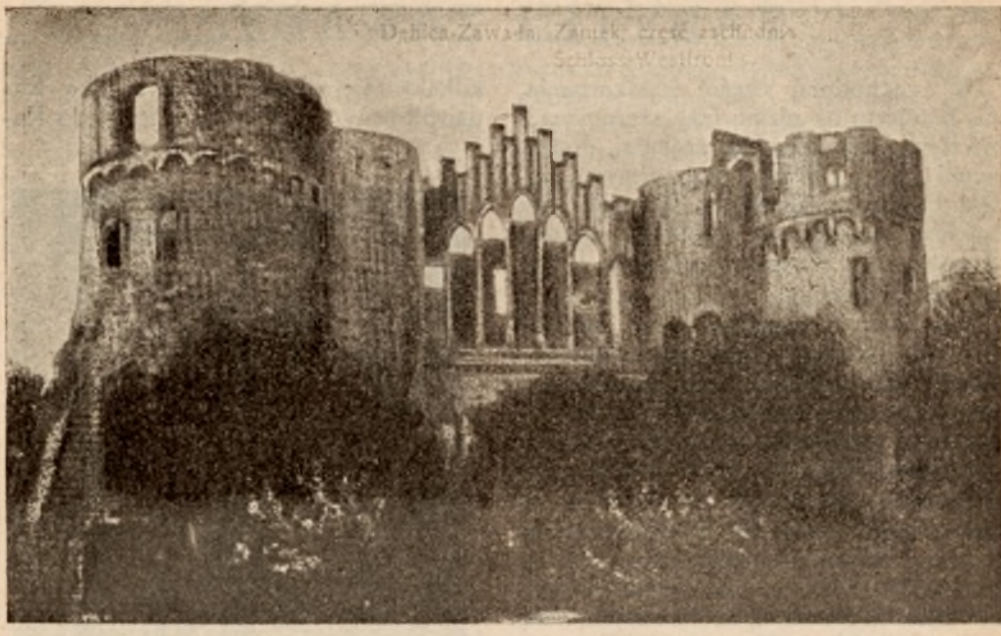


Fragment wielkiego ołtarza w kościele zawadzkim.



Kościół w Zawadzie.

Cudowny obraz Matki Boskiej, odnowiony w r. 1904 przez artystę-malarza, Pochwalskiego, koronowany w r. 1920, a powtórnie z powodu święto-



Dębica-Zawada. Zamek, część zachodnia.

kradztwa w r. 1924, jest umieszczony w wielkim ołtarzu barokowym. Po bokach jego zdobią świątynię piękne witraże, fundacji Karolów Raczyńskich, zdobne w ich herby a przedstawiające: „Pokłon pasterzy“ i „Zmartwychwstanie Pana Jezusa“. Inne ołtarze mieszczą się w nawie i dwóch kaplicach od strony północnej i południowej. Z obrazów ołtarzowych zasługuje jeszcze na uwagę obraz św. Karola Boromeusza (dar Karola Raczyńskiego); z innych dewocjonali skrzydło ze starego tryptyku (z XVI w. może) z wizerunkiem M. Boskiej Bolesnej i św. Katarzyny, oraz obraz na blasze, przedstawiający Zdjęcie z Krzyża Pana Jezusa, dzieło zapewne krakowskiej sztuki cechowej z XVI w. — oba zabytki umieszczone obok w. ołtarza.

Tak przedstawia się obecnie kościół zawadzki, cudem uratowany z zawieruchy wojennej. Natomiast nie uszedł zniszczeniu, drugi zabytek, starszy od kościoła, bo średniowieczny, wspaniały zamek rezydencja ongiś Ligęzów a ostatnio Raczyńskich. Spalili go Moskale 27 września 1914 r. Przed wojną światową dumnie spoglądał swojemi potężnemi basztami na okolicę z pośród parku i zwierzyńca, w którym pasły się daniele. Pochodził z XIV w., co stwierdza oprócz napisu w kościele zawadzkim, architektura romańsko-gotycka. Ulegał kilku renowacjom, z których jedną z r. 1821 wymienia wspomniany napis kościelny.

Dziś sterczą z zamku ruiny, dające wyobrażenie o świetności zabytku, ale i o znikomości wszystkiego, co doczesne.

Dr. Władysław Bogatyński.

O PTAKACH ZIMUJĄCYCH.

Rozigrane niedawno promieniami słońca, brzękiem owadów, szmerem skrzydeł i śpiewem ptaków przestworza ucichły...

To coraz częstsze chłody nocy i poranków, coraz częstsze deszcze jesienne i wymieranie owadów, zmusiły naszych skrzydlatych gości do opuszczenia rodzinnych stron.

Odleciały więc wszystkie ptaki owadożerne, których życie związane jest ze słońcem i ciepłem, i ptaki błotne, którym w razie zamarznięcia stawów, błot, rzek i kałuż, groziłaby śmierć głodowa. Pozostały zaś tylko te ptaki, których organizm przystosowany jest do naszych warunków klimatycznych, a więc ptaki ziarno-jadne, mogące się obejść bez owadów, ptaki żywiące się pokarmem mieszanym, albo też te, które żywią się jajami i larwami owadów znajdujących się w korze drzew.

Oprócz tych pozostają niektóre drapieżne jak jastrząb gołębiarz, krogulec, sowy i t. p., z natury swojej już zahartowane do walki o byt, a tem samem łatwiej mogące dać sobie radę w zimie.

Najliczniej reprezentowana jest u nas grupa wróblowatych ziarnojadów.

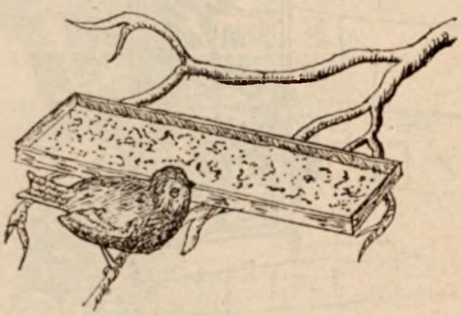
Głównemi ich przedstawicielami są: wróble, których świergotu jest wszędzie i zawsze pełno. Współzawodniczą z nimi w gwarliwości i szczebiocie sikory.

Zimujących gatunków sikor jest kilka: sikora bogatka, uboga, czubatka, modra, sosnówka i raniuszek czyli ogoniatka.

Trzymają się one stadkami, przenosząc się z miejsca na miejsce, z lasu do lasu z ogrodu do ogrodu w ciągłem poszukiwaniu pokarmu, jaki stanowią larwy i jaja owadów.

Razem z niemi wędrują zielonawe ze złotym płomyczkiem na głowie króliki - zniczki, najmniejsze z naszych ptaków.

Pnie drzew obszukują dzięcioły: czarny i pstry, który ciekawie zastosowuje się do warunków. W razie braku owadów zmienia się w ptaka roślinożernego, jednem słowem przechodzi na jarosza.



Żerowisko na deseczce.

Dzięciołom dotrzymują towarzystwa mniejsze od wróbla pełzacze, brunatno-białawe od spodu, które jak myszki biegają szybko od dołu pnia do góry i wyjadają ze szczelin jajeczka i larwy.

Podobny do nich, ale większy jest bargieł-kowalik, wiedzie on tryb życia taki, jak dzięcioły i pełzacze.

Na podwórkach uwijają się razem z wróblami trznadle i pośmieciuszki-dzierlatki, a w ogrodach szczygły, makolągwy, dzwońce i czyżyki.

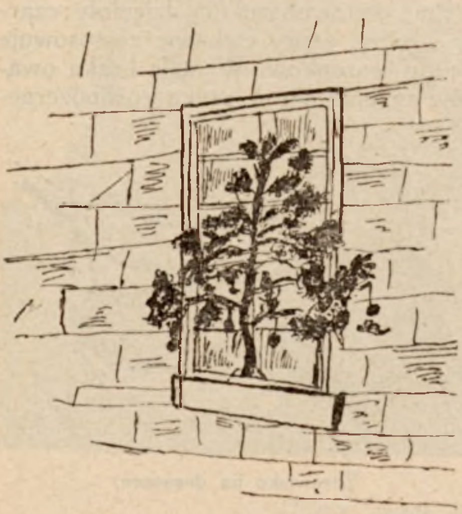
W ostrzejsze zimy spotykamy napuszone gile, zlatujące do nas z północy i gór, czeczotki, jery, i jemiołuszki.

Ożywiają one i urozmaicają w swoisty sposób dość monotonny krajobraz zimowy. Za to należy im się od nas wdzięczność pewnego rodzaju, którą możemy wyrazić w opiece i pamięci o nich.

Ptaków zimujących jest u nas dość

dużo, a pokarmu zamało na to, by mogły one bez zbyt wielu strat w towarzyszach przetrwać dość srogą nieraz zimę.

Najgorszym dla ptaków jest czas,



Żerowisko na gałązce.

w którym wytworzy się gołoledź, pokrywająca twardym lodem wszystko i czas zawiei śnieżnej. W takich to okresach ptaszki nie znalazłszy rano nic do zjedzenia i rozgrzania się, padają martwe pod ostremi tchnieniami mrozu. Do nas należy obowiązek opieki nad tym bezsilnym i bezradnym drobiazgiem ptasim.

W innych krajach oceniono pożytek ptactwa w gospodarstwie i zajęto się rozkrzewianiem opieki nad niemi w zimie.

W Niemczech np. w lasach leśnicy urządzają karmniki i sztuczne żerowiska dla ptaków, wieszają na drzewach kawałki słoniny dla sikor i im pokrewnych, by mogły zebrać sobie trochę potrzebnego dla organizmu tłuszczu i w ten sposób lepiej ogrzewać się.

To samo robią właściciele większych i mniejszych ogrodów, aby umożliwić tym niedołężnym w czasie mrozów maleństwom, przetrzymywania najsroższej i najokrutniejszej dla nich pory roku.

U nas mało jeszcze w tym kierunku zrobiono, a wartoby się tem zająć naprawdę.

To nie trudno, trochę tylko dobrej woli, a wszystko się zrobi.

Nie jest przecie rzeczą uciążliwą zbieranie okruszyn i resztek ze stołu dla ptactwa. Nie trzeba jednak rzucać ot tak, gdzie popadnie, bo z tego żadnej korzyści nie będzie, utonie w śniegu i już dla ptaka niedostępne, ale rzucać należy na przygotowane w tym celu żerowiska. Żerowiskiem takiem, może być najzwyklejsza deseczka, umieszczona na krzakach lub na gałęzi drzewa, nie bardzo wysoko, zasłonięta od wiatru, śniegu i drapieżników choćby gałązkami. Na nie rzucać trzeba żywność i jeśli niema w pobliżu wody bieżącej, ustawiać w jakiemś naczyniu wodę (najlepiej ciepłą, ponieważ ta trudniej zamarza).

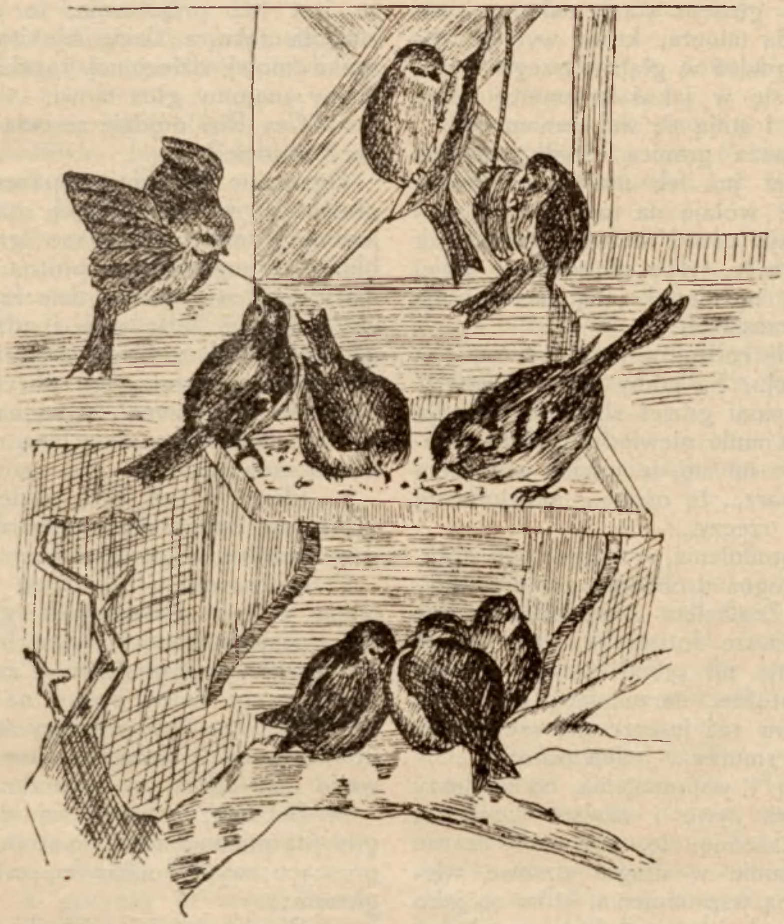
Pokarm rzucać należałoby wieczorem, by ptaki rano już miały przygotowany i około południa, po uprzedniem oczyszczeniu deseczki ze śniegu, jeśli napadał. Żerowiska takie można a nawet należy ustawiać także i na ziemi, dla ptaków poszukujących na ziemi pokarmu, jak wróbli, trznadli, dzierlatek i t. p.

Pokarm powinien być mieszany np. resztki ze stołu, nasiona różnych drzew, zbóż, traw, i kwiatów, drobne kawałki tłuszczu i mięsa i t. p., ze względu na różnorodność pożywienia naszego ptactwa.

Można również jakieś większe ziarna np. dyni, klonu, różne orzeszki, nawlec na sznureczki i porozwieszać na drzewach. Nie zasypie tego śnieg, ani wiatr nie strąci.

Pamiętać jednak należy, by żerowisk takich nie umieszczać blisko domu, ale trochę w ukryciu i w oddali od domostw.

Jeśliby zaś ktoś chciał obserwować, to może jakąś małą choinkę albo gałąź sosny lub świerku, przybić gdzieś niedaleko okna i na nią zawieszać pokarm na sznureczkach.



Zimowa uczta.

Zaproszeni w ten sposób goście, początkowo będą odnosili się do tego nieufnie i przez jakiś czas jedzenie zostanie nie tknięte, ale później oswoją się, a gdy jeszcze drogę pokaże sikora lub wróble, może wkrótce nastarczyć im wszystkiego nie będziemy mogli. Ptaki odwdzięczą się za to w swój sposób, śpiewem, świegotem, jak który potrafi, a na wiosnę, jeśli znów będą sprzyjały im warunki, osiedlą się, pozakładają gniazda i oczyszczać będą nasze drzewa z pasożytów, dzięki czemu znów owocodajność ich wzrośnie.

Ptaszyny sercem za serce zapłacą.

Irena Kulpińska.

BABUNIA.

Każda godzina, którą wydzwania srebrnym głosem stary, salonowy zegar, każda minuta, którą wytyka, cofają się gdzieś w głąb naszego życia, drapują się w jakąś tajemnicę złotą i różową i stają się wspomnieniami.

Tam, poza granicą chwili teraźniejszej, takie już ich mnóstwo. Tłoczą się one i wołają na nas znanym głosem i stają przed oczyma takie, jak niegdyś były, tylko piękniejsze, mniej realne, z tą niepokojącą melancholją rzeczy przeszłych.

Jest tyle rodzajów wspomnień w duszy każdej... Są jakby urywki wspomnień; czasami gdzieś słyszana melodja wraca do mnie niewiedzieć skąd; czasem zdaje mi się, że gdzieś widziałem już tę twarz... tę osobę... mówiono mi już o tej rzeczy...

Są wspomnienia, wracające pod wpływem jakiegoś drobiazgu czy przypomnienia... Znalazłem stary obrazek, list może, ...może fotografję; cały okres czasu staje mi przed oczyma z jakąś wszechpotężną, narzucającą się siłą... Przeżywam raz jeszcze dni szczęśliwe, albo dni smutne... Jeden obrazek...

Ale są i wspomnienia, co w duszy są zawsze żywe i zawsze kochane; któremi karmię się, gdy myśli czarne opadną mnie w długie zimowe wieczory... Są wspomnienia, które są jako ten promyk złoty złożony w duszy, jako kapitał szczęścia na burzy czas...

A dla mnie z pomiędzy wszystkich wspomnień kochanych, jest jeszcze jedno, najukochańsze, najbliższe, jedyne, które nie opuszcza mnie nigdy, które jest ze mną w mych pracach, w mych modlitwach, w mych rozrywkach...

Wspomnienie babuni...

Jakżeż wyraźnie widzę przed sobą jej malutką, pomarszczoną twarz, okoloną białemi włosami i czarną koronką. Gdy zamknę oczy, zdaje mi się, że jest tuż przy mnie, że jej mała, zwiędła ręka z siecią błękitnych żył, szuka mojej dziecinnej rączki, a kochany znajomy głos mówi.

— Czy Riri pójdzie ze mną na spacer? pójdzie?

Ogromnie lubiłem te spacery. Ona otulała się w fałdy długiej, czarnej peleryny, a mnie nakładano granatową bluzkę z angielskiego płótna. Prowadziła mnie nad staw, gdzie rzucaliśmy chleb białym łabędziom i gdzie przyglądaliśmy się srebrnej, bijącej w górę fontannie. Czasem wiatr porywał kropelki wodne i rzucał aż na nas. Wtedy śmiałem się z dziecinną radością, a ona mówiła:

— Idźmy z tąd Riri, zaziębisz się.

Ale raz byłem dla niej bardzo, bardzo niedobry. Było to tak:

Przechorowałem się dzień cały na jedną z tych dziecinnych gorączek, które przychodzą na to tylko, by wzniecić alarm w całym domu i zniknąć...; a na drugi dzień byłem na djecie... Otóż były po raz pierwszy wiśnie na podwieczorek i nam, dzieciom, ofiarowano cały talerz do podziału.

A Babunia, zbliżyła się do mnie, gdy już miano siadać do stołu i rzekła prosząco swym kochanym, załamanym głosem:

— Riruś zostawi wisienki; to nie dobre dla ciebie, dostaniesz jutro ile będziesz chciał. A teraz patrz, wszystkie te konfiturki możesz sobie na bułkę położyć — tylko nie zrób plamy.

I widocznie zauważyła, że moje, ledwo zarysowane brwi, zbiegły się w groźnego marsa, bo dodała prędko, nie dając mi przyjść do słowa:

— A po podwieczorku, pójdziemy do łabędzi Rirusiu, pójdziemy...

Byłem oburzony. Babunia była na-

prawdę niesprawiedliwa. Przecież od rana nie postawiono mnie w kącie ani razu, nie podarłem spodenek i pozwoliłem sobie nosek wytrzeć. — Czemuż czyniono mi krzywdę?

Ze swego miejsca przy tatusiu, obserwowałem, jak tamci rozdzielali sobie wiśnie.

Stach, najstarszy z bandy, obliczał je sprawiedliwie. Jego radosny dziecinny głosik, drażnił mnie okrutnie:

— Jedna dla Wandy, jedna dla Krysi, jedna dla mnie; jedna dla Wandy...

Czemuż on tak wrzeszczał? Z jego strony było to niedelikatnie i „źlewychowanie". Znajdowałem, że ojciec powinien go był uciszyć, a nawet za drzwi wyrzucić. Ale ojciec rozmawiał przez stół z panną Julją, naszą guwernantką, i nie zwracał na nas uwagi.

— Jedna dla Wandy, jedna dla Krysi...

Kiedyż oni skończą z temi krzykami... talerz na trzech... zawsze mam pech...

— Jedna dla Wandy...

Tego było za dużo — rzuciłem łyżeczkę aż zabrzęczała o spodek i czekałem.

— Możebyś uspokoił się Riri? — rzekł ojciec, obracając się. — Babunia patrzała na mnie błagalnie. Oczy jej niebieskie z poza dużych okularów pełne były łez. Przez chwilę myślałem, że i ona nie dostała owoców.

Żułem z goryczą w sercu, swoją bułkę z konfiturami, a Stach liczył dalej:

— Jedna dla Wandy, jedna dla Krysi, jedna dla mnie...

I dotąd nie wiem, jak to się mogło stać, jak mogłem zapomnieć o obecności ojca, którego bałem się jak ognia, jak mogłem zapomnieć o obecności babuni... ale fakt jest, że chwyciłem szklankę wody, stojącą przy mnie i energicznym ruchem, rzuciłem ją w pochyloną nad talerzem trójkę.

Zrobił się ruch... Cienkie strumyki spływały z obrusu na ziemię. Guwernantka otrzepywała ociekającą z wody bluzkę Stacha i wycierała ją serwetką; służący zbierał naczynia i ściągał obrus.

— Riri wyjdzie z pokoju — rzekła Babunia stanowczo.

Wyleciałem jak szalony, nie spojrzawszy nawet na nią. A moje małe, 6-cio letnie serduszko, aż trzęsło się od gniewu:

„Niedobra babunia, niedobra; tylko przez nią była awantura, zrobię jej na złość, zrobię!..." — I począłem wymyślać z nerwowym pośpiechem wszystkie sposoby, któremi mógłbym staruszeńce dać poznać, jak bardzo się na nią gniewałem...

— Już wiem! — rozchoruję się — niech ma, poco się tak troszczy o moje zdrowie.

*
* *

W głębi ogrodu, w promiennem słońcu wiosennem, stał staw błękitny, iskrzący się falami, jak łuską. Białe łabędzie przypływały do brzegu po chleb i ciastka, a w środku biła fontanna. Biegłem co tchu piaszczystą aleją; dobiegłszy, siadłem w trawie i począłem ściągać co sił sandałki i białe skarpetki. Serce musiało mi bić bardzo mocno, ale tak się śpieszyłem, że nie mogłem zwracać na to uwagi; zaziębię się, zaziębię, na złość babuni, zaziębię się.

Ale w tej chwili na piasku alei zaszeleściły prędko czyjeś kroki i głos kochany, drgający troską i niepokojem, wołał z daleka „Riri! Riri!..."

Instynktownym ruchem schowałem nóżki pod siebie i siadłem na nich, by nie widziała.

Babunia biegła prawie.

Wiatr targał jej staroświecką, czarną pelerynę i rozburzył jej białe włosy. Drobna, woskowa twarz pobladła była

z przerażenia, a z niebieskich oczu płynęły łzy jak grad.

— O Riri!... jak mogłeś!...

A wtedy nie wiem co się ze mną stało.

Rzuciłem się jej w objęcia i w wybuchu dziecinnej skruchy, począłem całować namiętnie jej drobne ręce, znaczone siecią żył błękitnych, fałdy jej czarnej peleryny i co tylko mogłem dosięgnąć. — Aż trzęsłem się od płaczu. Więc ona schyliła się nademną i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, poczęła ocierać mi twarz i oczy...

W dole staw iskrzył się łuską złotą i świeciło kwietniowe słońce.

*
* *

Żeby ona mogła wiedzieć teraz, co stało się z jej małym chłopcem o kręconej czuprynie i w płóciennej bluzie — nie zobaczy...

Dawno śpi już pod cieniem lip stuletnich w cichym spokoju wiejskiego cmentarza, a Riri siada nieraz na płycie grobowej i wyobraża sobie, że ma 6 lat, że czeka na nią, że ona ukaże się zaraz, otulona w fałdy staroświeckiego płaszcza i że pójdą razem na spacer.

Bo Babunia nie odeszła całkiem z jego życia. — Cofnęła się tylko w głąb, przyoblekła melancholijną tajemnicą rzeczy minionych i stała się kochanem, jedynem, najdroższem wspomnieniem.

M. T.

„M A R Y J K A"

7) Powieść dla dorastających panien.

— Proszę was, zachowajcie się spokojnie — mówiła przełożona, kto mnie kocha, ten płakać nie będzie. — I tuliła dziewczątka do siebie, całując ich ciemne i jasne główki. Słuchajcie starszych, szepnęła, grzeczne bądźcie.

Maryjka stanęła opodal. Miała to przeświadczenie, że ona, tu, wobec tych Moskali, którzy śledzą każdy ich ruch, każde słowo, musi być tylko boną-Niemką.

Pani Ptaszyńska widocznie była tego samego zdania, bo po serdecznem pożegnaniu dziewczynek, wyciągnęła do niej rękę, mówiąc tylko te słowa:

— Do widzenia Freilin, proszę, niech pani czuwa nad dziećmi.

Maryjka pochyliła się i ucałowała podaną sobie dłoń, a wtedy przełożona, całując ją w głowę, szepnęła cichutko po polsku.

— Dziecko moje drogie, powiadom księdza...

Stało się to tak szybko, że bystre oczy służalców carskich nie dojrzały i uszy nie usłyszały nic.

Po chwili drzwi zamknęły się za panią Ptaszyńską i towarzyszącymi jej policjantami.

W mieszkaniu był nieład straszny. Panna Helena, zastępczyni przełożonej, nauczycielka robót, wsunięta w kąt sofki, głośno płakała. Dziewczynki przerażone, spoglądały po sobie. Wszystkie miały ochotę płakać, ale pamiętały o słowach przełożonej i powstrzymywały się. Służące i kucharka, siedząc w swoim kącie, głośno płakały i wyrzekały. Maryjka pierwsza oprzytomniała.

— Cóż będziemy tak płakać, zawołała, pani przełożona zapewne wróci

niedługo z cyrkułu. Słyszałam jak mówili policjanci, że ją tam wiozą. Cóż powie, jeśli zastanie taki tu nieporządek? Kto mi pomoże posłać łóżka i ustawić wszystkie sprzęty na miejscu?

Szybko zawinęła się dziatwa. Włożono słomę z powrotem do sienników, zebrano pierze do poszewek. P. Helena, widząc dzieci pracujące, osuszyła oczy i zabrała się również do pracy. Przyszły i służące wezwane przez nią i mieszkanie doprowadzono do porządku, gdy na wieżowym zegarze wybiła ósma godzina. W tejże chwili zadzwoniono na Mszę świętą w kościele świętego Michała.

Maryjka przypomniała sobie polecenie przełożonej. O tej właśnie godzinie, ksiądz Juljan zasiadał w konfesjonale. Trzeba iść uprzedzić go. Ale wpierw należy przekonać się, czy na schodach, lub w bramie, nikt nie pilnuje. Pani Ptaszyńska opowiadała, że zazwyczaj, po dokonanej rewizji, policja zostawia przez kilka pierwszych dni szpiega, który zapisuje osoby wchodzące do mieszkań osób aresztowanych, oraz uważa, dokąd idą domowi.

— Pójdę po bułki dziś sama, rzekła do służącej, proszę, niech mi Karolcia da koszyczek.

Karolka protestowała, ale Maryjka wytłumaczyła jej, że po dzisiejszej nocy, głowa ją rozbolała i musi się trochę przejść.

Umyśliła, że przejdzie przez Skopówkę i o ile nikogo podejrzanego nie spostrzeże, to uda się wprost przez zaułek Ś-go Michała, do kościoła. — Gdyby zaś ktoś był w bramie, lub szedł za nią, to pójdzie na Zarzecze do piekarni po bułki, a potem przejdzie przez most dla pieszych na Wileńce i bocznemi ulicami, w których zgubić się łatwo, dojdzie do kościoła. Należało to uczynić koniecznie, bo zaraz po dziewiątej, była lekcja religji.

Na schodach i w bramie, nie doirzała nikogo obcego. Stróż tylko piłował drzewo w podwórzu. Pozdrowił ją uprzejmie, dając temsamem do zrozumienia, że nikogo obcego niema.

Uspokojona, pomknęła ku kościołowi. Po drodze, wpadła do znajomego sklepiku, kupiła tam pieczywo i poprosiła sklepową, by chwilowo przechowała je wraz z koszykiem, a sama poszła dalej.

Otoczony ogromną ciżbą ludu, ksiądz Juljan, siedział w swym konfesjonale. Panna Marja klęczała przed obrazem Najświętszej Panny. Zatopiona w modlitwie, nie widziała Maryjki, która stojąc z boku, rozmyślała, co począć? Najłatwiej było podejść do p. Marji i szepnąć jej parę słów. Jeśli jednak nie dostrzeżony przez nią szpieg śledzi ją i dostrzeże, że rozmawia z p. Marją, to kto wie, czy i jej również nie zaaresztują. Do księdza ani dojść, taki otoczony. Trzeba chyba czekać, aż wyjdzie z konfesjonału.

Zaczęła się modlić, podniosła oczy na cudowny wizerunek Pocieszycielki wiernych i łzy, gorące łzy, już teraz nie powstrzymywane, popłynęły po bladziutkiej twarzy.

— Panieneczko — szepnęła stojąca obok niej kobieta — ksiądz z konfesjonału daje znak, żeby się do niego zbliżyć.

Ksiądz Juljan, spowiednik całego niemal ówczesnego Wilna, znał swych penitentów i często miał zwyczaj wyjrzeć z konfesjonału, czy tam zdala nie stoi ktoś taki, kto się przecisnąć przez tłum nie może, a jednak przedewszystkiem powinien odbyć spowiedź, otrzymać kilka słów krzepiących ducha, i podnoszących go zarazem. — Prosił wówczas bliżej stojących o chwilę cierpliwości i wzywał tamtego. Najczęś-

ciej robił to, widząc czekającą na spowiedź młodzież męską.

— Wy, kobiety — mówił do swych penitentek — wytrwalsze jesteście, nie opuścicie Sakramentu Pokuty i o ile dziś nie zdążę was wyspowiadać, to przyjdziecie jutro i pojutrze. A taki młody chłopak, to jak dziś nie dojdzie, to może zniechęcić się i nie przyjść wcale. Wybaczcie więc, że jego wpierw wyspowiadam.

Słowo świątobliwego kapłana, którego całe Wilno czciło, rozkazem było dla wszystkich. — A każda starsza kobieta Polka wiedziała, że spowiedź młodego chłopca u księdza Juljana, była w tamte czasy ucisku moskiewskiego, narodowem uświadomieniem. Każdy, kto do jego konfesjonału zbliżył się i otworzył przed nim skruszoną duszę, posłyszał ważkie i mądre słowa, o obowiązku miłowania ojczyzny, i w potrzebie, złożenia jej życia w ofierze. — „Kochaj Polskę, dzieciaczku, i módl się za nią, pracuj dla niej i żyj uczciwie, boś ty jej dziecko“, to były słowa, kończące każdą naukę tego kapłana.

Dziś dostrzegł stojącą Maryjkę, widział jej oczy błagalnie wpatrzone w twarz Bogarodzicy, łzy i domyślił się, że to biedne dziecko jakaś nowa niedola spotkała. — Zapragnął ją pocieszyć, powiedzieć jej parę słów dobrych, któreby jej ból ukoiły i wezwał ją.

*
* *

Parę tygodni upłynęło, zanim p. Ptaszyńska została uwolnioną. — Panna Marja, ostrzeżona przez księdza Juljana, przez dwa dni nie przychodziła na pensję. Czas ten oboje użyli na starania o szybsze zwolnienie przełożonej. Nie pomogły jednak wszelkie zabiegi, tyle tylko uzyskali, że pozwolono uwięzionej otrzymywać obiady z domu. Nosiły je na zmianę, p. Helena i Maryjka, żadna jednak nie miała prawa wchodzić do więzienia. Maryjka próżno zaglądała do zakratowanych okien więzienia na Łukiszkach, nigdzie ujrzeć nie mogła ukochanej opiekunki.

W domu nic się nie zmieniło, p. Marja przychodziła codziennie i w zastępstwie przełożonej, odbywała lekcje z dziewczynkami. Zaglądał też i ksiądz Juljan, wykładał religję dziatwie. Rozmawiał z Maryjką i pocieszał wiecznie tonącą we łzach p. Helenę.

Po dwóch tygodniach, uwolniono p. Ptaszyńską. Zbrodni nie udowodniono jej żadnej, pomimo to była oddaną pod nadzór policyjny. Musiała co tydzień meldować się w biurze policji, listy przychodzące do niej pocztą były kontrolowane przez władze rosyjskie, nie wolno jej było wyjeżdżać z miasta, nie wolno było brać udziału w żadnej pracy społecznej. Taki nadzór miał być rozciągnięty nad nią przez całe dwa lata.

Nie złamało to dzielnej kobiety; jedyną jej troską była tajna pensja, o której byt wciąż drżała. Starała się dać tam najlepszych nauczycieli, którzyby, w jej zastępstwie, wzbogacali umysły i serca, powierzonych jej dziewcząt. — Wieczorami, gdy wierny Piotr zasiadał w bramie, pani przełożona wykradała się na górę i tam parę godzin spędzała wśród starszych uczennic. Były to wykłady uświadamiające przyszłe obywatelki uciemiężonej Polski o ich przyszłych obowiązkach.

Dwa razy też w tygodniu, w mieszkaniu przełożonej, odbywały się lekcje robót, na które uczęszczały panienki ze szkoły muzycznej. — Miłe były te godziny, w których przełożona czytała pochylonym nad robotą dziewczętom, arcydzieła naszych wieszczów.

(C. d. n.) *Marja Reutlówna.*

ZE ŚWIATA.

Zamach na Mussoliniego. Wskutek nieudanego zamachu na Mussoliniego, w różnych miastach Włoch policja dokonała rewizyj domowych u członków stronnictw opozycyjnych. Wielu polityków, którzy do faszystów nie należeli, zgłosiło obecnie swe przystąpienie do partji faszystowskiej, między innymi prezydent Izby Posłów. Wpływ i znaczenie Mussoliniego z dniem każdym rośnie, jest on dziś prawdziwym dyktatorem Włoch.

Nagroda Nobla. Tegoroczną nagrodę Nobla w dziale literatury, otrzymała powieściopisarka norwegska Sigrid Undset, za książkę pod tytułem „Krystyna Juwrandsdetter".

Pierwsza kobieta sędzią w Niemczech. W Bonn, przewodniczyła rozprawie sądowej pani Weins. Jest to w Niemczech pierwszy wypadek objęcia w sądzie przewodnictwa przez kobietę.

Nowy podział na djecezje w Polsce. — W myśl konkordatu i na podstawie bulli papieskiej, od 2 listopada b. r. zostaje wprowadzony nowy podział na djecezje. Według przyjętej zasady, wszystkie parafje pograniczne, które wchodziły w skład djecezyj niemieckich i litewskich, wejdą do djecezyj pogranicznych polskich.

Co mówi Prezydent Coolidge o modzie. „Dwadzieścia lat temu, mówił Prezydent, toaleta damska wymagała 10 metrów materjału, dziś potrzeba 3 metry. Cóż więc dziwnego, że przemysł włókienniczy upada?" Pan prezydent więc, ze względów gospodarczych, proponuje powrót do sukien powłóczystych. Zobaczymy, czy Amerykanki z patrjotyzmu zastosują się do życzenia przedstawiciela rządu.

Rozporządzenie Ministra Sikorskiego. — Z rozporządzenia Ministra Sikorskiego, zostały rozbrojone wszystkie organizacje społeczne przysposobień wojskowych, a więc: Strzelcy, Sokoły, Harcerze i t. d., będące do dyspozycji poszczególnych Związków. Broń została złożoną w oddziałach macierzy.

Ku czci zmarłych dzieci w Japonji. W jednem z miast jest świątynia istniejąca od 2.500 lat; w dwupiętrowej wieży jest dzwonnica, a jeden z dzwonów nazwany jest „Przewodnik", bo ma prowadzić duchy zmarłych dzieci przez ciemności. Świątynia pokryta tysiącami zabawek, sklepienie ubrankami nieboszczyków. Żywi chłopcy i dziewczynki przynoszą zabawki, aby je złożyć przed tabliczką zmarłego braciszka lub siostrzyczki. Co chwila ojciec lub matka zmarłego dziecka pociąga za sznur dzwonu, rzucając ofiarę, wierząc, że mała duszyczka słyszy i znajduje drogę do ulubionej zabawki, lub przypatruje się twarzy ukochanej. Tak wszędzie, w pogańskich nawet sercach, tkwi wiara w nieśmiertelność duszy.

Upadek gabinetu Grabskiego. Gabinet Grabskiego upadł. W kraju coraz ciężej, złoty spada, bezrobocie się szerzy w przerażający sposób. Wraz z zimą zbliża się widmo nędzy i głodu. Dziś wszyscy i młodzi i starzy, wszyscy, którzy kraj miłują nie słowem, ale czynem, powinni się zjednoczyć i w wspólnej zgodzie i miłości bratniej, pracować nad zabezpieczeniem bytu Ojczyźnie. Dziś nie wolno nam lekkomyślnie nawet grosza wydać, dziś nie wolno nam czasu marnować, dziś, jak w 1920 roku przed najazdem bolszewickim, tak przed stokroć niebezpieczniejszym wrogiem wewnętrznym: niezgody, rozrzutności, lenistwa i niesumienności, bronić się musimy, a do tej walki powołani jesteśmy wszyscy bez wyjątku i od nas wszystkich zależeć będzie, czy naród nasz będzie pierwszym, czy ostatnim z narodów.

Dnia 20 listopada b. r., unkonstytuował się nowy Gabinet ministerjalny. Prezydentem rady ministrów jest dr. Aleksander Skrzyński.

Śmierć Stefana Żeromskiego. Dnia 20 listopada b. r., zmarł w Warszawie nasz ogólnie znany powieściopisarz Stefan Żeromski.

Róża Łubieńska.

CO SŁYCHAĆ W PARYŻU?

Co słychać w Paryżu? Nadchodzi zima. — Trzeba sobie kupić jakąś ładną suknię, ostatni czas na płaszcz zimowy, każdy przyzna, że trzeba mieć grube buciki na śnieg i błoto. — Ale podobno tego roku mniej pieniędzy niż zwykle bywało! Tem bardziej trzeba się namyślić, żeby tanio, a przecież ładnie się ubrać. Chodźmy więc na chwilkę do wielkich krawców paryskich: Poquena, Dousseta — do szykownych magazynów Warszawy: Hersego, Lucyny, Żmigrydera. Obejrzymy tam, co noszą, a potem zastanowimy się, jakby tanim kosztem dojść do tych strojów?

Wchodzimy do sklepu: ładnie urządzone salony, na wygodnych kanapach i fotelach siedzą wystrojone damy i czekają na przyjście „modelek". Wreszcie drzwi się otwierają. Wchodzi szereg młodych, zgrabnych panien w futrach, płaszczach, sukniach wełnianych i jedwabnych. Cóż za zmiana od zeszłej zimy! Gdzież wąskie suknie? gdzie obcisłe płaszcze, w których i kroku trudno było zrobić? Wszystko szerokie dołem: klosze, duże fałdy, trochę plis

ciej robił to, widząc czekającą na spowiedź młodzież męską.

— Wy, kobiety — mówił do swych penitentek — wytrwalsze jesteście, nie opuścicie Sakramentu Pokuty i o ile dziś nie zdążę was wyspowiadać, to przyjdziecie jutro i pojutrze. A taki młody chłopak, to jak dziś nie dojdzie, to może zniechęcić się i nie przyjść wcale. Wybaczcie więc, że jego wpierw wyspowiadam.

Słowo świątobliwego kapłana, którego całe Wilno czciło, rozkazem było dla wszystkich. — A każda starsza kobieta Polka wiedziała, że spowiedź młodego chłopca u księdza Juljana, była w tamte czasy ucisku moskiewskiego, narodowem uświadomieniem. Każdy, kto do jego konfesjonału zbliżył się i otworzył przed nim skruszoną duszę, posłyszał ważkie i mądre słowa, o obowiązku miłowania ojczyzny, i w potrzebie, złożenia jej życia w ofierze. — „Kochaj Polskę, dzieciaczku, i módl się za nią, pracuj dla niej i żyj uczciwie, boś ty jej dziecko“, to były słowa, kończące każdą naukę tego kapłana.

Dziś dostrzegł stojącą Maryjkę, widział jej oczy błagalnie wpatrzone w twarz Bogarodzicy, łzy i domyślił się, że to biedne dziecko jakaś nowa niedola spotkała. — Zapragnął ją pocieszyć, powiedzieć jej parę słów dobrych, któreby jej ból ukoiły i wezwał ją.

* * *

Parę tygodni upłynęło, zanim p. Ptaszyńska została uwolnioną. — Panna Marja, ostrzeżona przez księdza Juljana, przez dwa dni nie przychodziła na pensję. Czas ten oboje użyli na starania o szybsze zwolnienie przełożonej. Nie pomogły jednak wszelkie zabiegi, tyle tylko uzyskali, że pozwolono uwięzionej otrzymywać obiady z domu. Nosiły je na zmianę, p. Helena i Maryjka, żadna jednak nie miała prawa wchodzić do więzienia. Maryjka próżno zaglądała do zakratowanych okien więzienia na Łukiszkach, nigdzie ujrzeć nie mogła ukochanej opiekunki.

W domu nic się nie zmieniło, p. Marja przychodziła codziennie i w zastępstwie przełożonej, odbywała lekcje z dziewczynkami. Zaglądał też i ksiądz Juljan, wykładał religję dziatwie. Rozmawiał z Maryjką i pocieszał wiecznie tonącą we łzach p. Helenę.

Po dwóch tygodniach, uwolniono p. Ptaszyńską. Zbrodni nie udowodniono jej żadnej, pomimo to była oddaną pod nadzór policyjny. Musiała co tydzień meldować się w biurze policji, listy przychodzące do niej pocztą były kontrolowane przez władze rosyjskie, nie wolno jej było wyjeżdżać z miasta, nie wolno było brać udziału w żadnej pracy społecznej. Taki nadzór miał być rozciągnięty nad nią przez całe dwa lata.

Nie złamało to dzielnej kobiety; jedyną jej troską była tajna pensja, o której byt wciąż drżała. Starała się dać tam najlepszych nauczycieli, którzyby, w jej zastępstwie, wzbogacali umysły i serca, powierzonych jej dziewcząt. — Wieczorami, gdy wierny Piotr zasiadał w bramie, pani przełożona wykradała się na górę i tam parę godzin spędzała wśród starszych uczennic. Były to wykłady uświadamiające przyszłe obywatelki uciemiężonej Polski o ich przyszłych obowiązkach.

Dwa razy też w tygodniu, w mieszkaniu przełożonej, odbywały się lekcje robót, na które uczęszczały panienki ze szkoły muzycznej. — Miłe były te godziny, w których przełożona czytała pochylonym nad robotą dziewczętom, arcydzieła naszych wieszczów.

(C. d. n.) *Marja Reuttówna.*

ZE ŚWIATA.

Zamach na Mussoliniego. Wskutek nieudanego zamachu na Mussoliniego, w różnych miastach Włoch policja dokonała rewizyj domowych u członków stronnictw opozycyjnych. Wielu polityków, którzy do faszystów nie należeli, zgłosiło obecnie swe przystąpienie do partji faszystowskiej, między innymi prezydent Izby Posłów. Wpływ i znaczenie Mussoliniego z dniem każdym rośnie, jest on dziś prawdziwym dyktatorem Włoch.

Nagroda Nobla. Tegoroczną nagrodę Nobla w dziale literatury, otrzymała powieściopisarka norwegska Sigrid Undset, za książkę pod tytułem „Krystyna Juwrandsdetter".

Pierwsza kobieta sędzią w Niemczech. W Bonn, przewodniczyła rozprawie sądowej pani Weins. Jest to w Niemczech pierwszy wypadek objęcia w sądzie przewodnictwa przez kobietę.

Nowy podział na djecezje w Polsce. — W myśl konkordatu i na podstawie bulli papieskiej, od 2 listopada b. r. zostaje wprowadzony nowy podział na djecezje. Według przyjętej zasady, wszystkie parafje pograniczne, które wchodziły w skład djecezyj niemieckich i litewskich, wejdą do djecezyj pogranicznych polskich.

Co mówi Prezydent Coolidge o modzie. „Dwadzieścia lat temu, mówił Prezydent, toaleta damska wymagała 10 metrów materjału, dziś potrzeba 3 metry. Cóż więc dziwnego, że przemysł włókienniczy upada?" Pan prezydent więc, ze względów gospodarczych, proponuje powrót do sukien powłóczystych. Zobaczymy, czy Amerykanki z patrjotyzmu zastosują się do życzenia przedstawiciela rządu.

Rozporządzenie Ministra Sikorskiego. — Z rozporządzenia Ministra Sikorskiego, zostały rozbrojone wszystkie organizacje społeczne przysposobień wojskowych, a więc: Strzelcy, Sokoły, Harcerze i t. d., będące do dyspozycji poszczególnych Związków. Broń została złożoną w oddziałach macierzy.

Ku czci zmarłych dzieci w Japonji. W jednem z miast jest świątynia istniejąca od 2.500 lat; w dwupiętrowej wieży jest dzwonnica, a jeden z dzwonów nazwany jest „Przewodnik", bo ma prowadzić duchy zmarłych dzieci przez ciemności. Świątynia pokryta tysiącami zabawek, sklepienie ubrankami niebosczyków. Żywi chłopcy i dziewczynki przynoszą zabawki, aby je złożyć przed tabliczką zmarłego braciszka lub siostrzyczki. Co chwila ojciec lub matka zmarłego dziecka pociąga za sznur dzwonu, rzucając ofiarę, wierząc, że mała duszyczka słyszy i znajduje drogę do ulubionej zabawki, lub przypatruje się twarzy ukochanej. Tak wszędzie, w pogańskich nawet sercach, tkwi wiara w nieśmiertelność duszy.

Upadek gabinetu Grabskiego. Gabinet Grabskiego upadł. W kraju coraz ciężej, złoty spada, bezrobocie się szerzy w przerażający sposób. Wraz z zimą zbliża się widmo nędzy i głodu. Dziś wszyscy i młodzi i starzy, wszyscy, którzy kraj miłują nie słowem, ale czynem, powinni się zjednoczyć i w wspólnej zgodzie i miłości bratniej, pracować nad zabezpieczeniem bytu Ojczyźnie. Dziś nie wolno nam lekkomyślnie nawet grosza wydać, dziś nie wolno nam czasu marnować, dziś, jak w 1920 roku przed najazdem bolszewickim, tak przed stokroć niebezpieczniejszym wrogiem wewnętrznym: niezgody, rozrzutności, lenistwa i niesumienności, bronić się musimy, a do tej walki powołani jesteśmy wszyscy bez wyjątku i od nas wszystkich zależeć będzie, czy naród nasz będzie pierwszym, czy ostatnim z narodów.

Dnia 20 listopada b. r., unkonstytuował się nowy Gabinet ministerjalny. Prezydentem rady ministrów jest dr. Aleksander Skrzyński.

Śmierć Stefana Żeromskiego. Dnia 20 listopada b. r., zmarł w Warszawie nasz ogólnie znany powieściopisarz Stefan Żeromski.

Róża Łubieńska.

CO SŁYCHAĆ W PARYŻU?

Co słychać w Paryżu? Nadchodzi zima. — Trzeba sobie kupić jakąś ładną suknię, ostatni czas na płaszcz zimowy, każdy przyzna, że trzeba mieć grube buciki na śnieg i błoto. — Ale podobno tego roku mniej pieniędzy niż zwykle bywało! Tem bardziej trzeba się namyślić, żeby tanio, a przecież ładnie się ubrać. Chodźmy więc na chwilkę do wielkich krawców paryskich: Poquena, Dousseta — do szykownych magazynów Warszawy: Hersego, Lucyny, Żmigrydera. Obejrzymy tam, co noszą, a potem zastanowimy się, jakby tanim kosztem dojść do tych strojów?

Wchodzimy do sklepu: ładnie urządzone salony, na wygodnych kanapach i fotelach siedzą wystrojone damy i czekają na przyjście „modelek". Wreszcie drzwi się otwierają. Wchodzi szereg młodych, zgrabnych panien w futrach, płaszczach, sukniach wełnianych i jedwabnych. Cóż za zmiana od zeszłej zimy! Gdzież wąskie suknie? gdzie obcisłe płaszcze, w których i kroku trudno było zrobić? Wszystko szerokie dołem: klosze, duże fałdy, trochę plis

i gufrowania przy lekkich, jedwabnych sukniach. Moda zgrabna i wygodna. Przeważają kolory dyskretne: okrycia w wielkiej części brązowe i czarne, suknie granatowe, czarne, niebieskie, białe, chętnie zestawia się czarne z szafirowem. Kapelusze i pończochy dobrane do sukien — niema już gwałtownego kontrastu kolorów. Czasem tylko barwny haft, ożywia skromną suknię. Suknie tego roku są nadzwyczaj proste. Nawet wizytowe toalety przypominają swą prostotą mundurki pensjonarskie. Suknie balowe są lekkie, mało dekoltowane, dużo tiuli, gazy, przybrane kolorowemi dżetami, lekkiemi falbanami i koronkami. Elegancja polega na dokładnem wykończeniu, harmonijnej kombinacji kolorów, zgrabnym kroju.

Na rano nosi się półbuciki na niskich, męskich obcasach, o zaokrąglonych końcach, grube pończochy, skromne, wełniane suknie, nieraz w duże kraty z białym kołnierzem, albo układane w kontrafałdy spódnice z wełnianymi, ciepłymi kazakami; niektóre elegantki lubią suknie trykotowe, wełna z jedwabiem, kołnierz, mankiety, kieszenie, ze skóry koloru sukni.

Popołudniu przeważają suknie wełniane o jednolitej barwie, często granatowe, rozjaśnione białemi, niebieskiemi, różowemi kołnierzami i żabotami; bardzo ładne są kombinacje wełny z jedwabiem i łatwo się dają przerabiać z sukni zeszłorocznych.

Kapelusze — jak komu do twarzy. — Pozostały modne małe czapeczki, można też nosić i duże, miękkie feutry, aksamitne i tiulowe kapelusze.

Mówiono w sferach interesujących się sprawami mody, że już suknie proste, niskie stany, zostaną skazane na banicję, ale ani na modelach, ani w żurnalach, tej zmiany nie widać.

A teraz co poradzić na to, że suknie są drogie, pieniędzy mało, a przecież takby było przyjemnie ubrać się modnie i ładnie! Tylko troszkę staranności i pracy, a nawet nie umiejąc kroju, można mieć śliczną suknię, zrobioną przez siebie. Są takie zakłady krawieckie, które na posłaną miarę, przysyłają skrojoną z papieru formę sukni — tylko przyłożyć ją do materjału, skrajać i uszyć, według wybranego wzoru. Nie szczędźcie tylko pracy przy wykończaniu! Doskonałe formy tego rodzaju, są Ullsteina, jeszcze może ładniejsze, dostaje się z „Jardin des modes“ żurnal paryski, którego administracja przysyła na zamówienie formę a nawet, za wyższą opłatą, zrobioną z taniutkiego perkaliku, tak, aby można sfastrygować ją i przymierzyć, zanim się będzie według niej krajać drogi i ładny materjał.

Tylko na coś jeszcze muszę zwrócić uwagę przy tegorocznym przeglądzie stroi kobiecych. W jednym, wszyscy bez wyjątku, musimy się bezwarunkowo ograniczyć, wszyscy, którzy tylko poczuwają się do tego, że są obywatelami Polski. Otóż nie wolno nam kupować tkanin zagranicznych. To doprawdy jeden z największych grzechów przeciw Ojczyźnie, jaki można popełnić. Polska jest w tak trudnem położeniu finansowem, że nie może sobie pozwalać na import zbytkownych rzeczy z zagranicy. Gdybyśmy wszyscy to zrozumieli, wysnuli z tego praktyczne wnioski, w czyn je wprowadzili — lepiejby się u nas działo! Nie na to przecież mamy tę tak upragnioną, u Boga wybłaganą własną, wolną Ojczyznę, żebyśmy jej życie swemi zbytkami i małostkami utrudniali. Więc powiedzmy sobie: ubieramy się ładnie — jak kto może, ale ubieramy się w wyroby krajowe. Tak małe poświęcenie dla tak wielkiej sprawy, że i mówić o tem nie warto. Więc niech nie będzie między nami nikogo, ktoby się na to nie zdobył; doprawdy, dałby tem dowód małości duchowej. Potrzeba jedwabnej sukni, to przerobić starą, niema — to się obyć. Chyba te Polki, które umiały wysyłać na bój o niepodległość swoich ojców, braci, narzeczonych, będą umiały dołożyć do innych ofiar tę tak drobną i tak konieczną: trochę jedwabiu, srebrnej lamy, szafirowych dżetów. *I. S.*

KĄCIK JĘZYKOWY.

P y t a n i e: **Jak należy mówić: „lubią“ czy „lubieją“ i „umią“ czy umieją“?**

O d p o w i e d ź: Kwestja odmiany czasownika „umieć“ była już poruszona w N-rze 8-9 naszego pisemka. Wyjaśniliśmy tam, że czasownik „umiem“ należy do tej samej kategorji, co „wołam, gram, znam“ i ma z niemi wspólną odmianę.

A więc tak samo, jak mówimy:

oni woła-ją
„ gra-ją
„ zna-ją

powiemy też:

oni **umie-ją** (a nie „umią“).

(Szczegóły patrz w N-rze 8-9 „Dziś i Jutro“).

Natomiast czasownik „lubią“ należy do odrębnej odmiany, na co wskazuje odrazu I osoba:

lubię || umiem

„Lubię“ odmienia się tak, jak wszystkie czasowniki, zakończone w I-ej osobie na ę, a więc:

ja mówi-ę — oni mówi-ą
ja robię — oni robią
ja skubię — oni skubią
tak samo: ja lubię — oni **lubią** (a nie „lubieją“).

Dalszych zapytań w sprawach „poprawnego mówienia" zawsze oczekujemy i chętnie na nie odpowiadamy. Nie obawiajcie się „nudzenia" nas, piszcie swobodnie, nie krępując się — nazwisk pytających nie podajemy. *Irena Golcówna.*

WŚRÓD KSIĄŻEK.

„Księga Pamiątkowa trzechsetlecia Księży Misjonarzy 1625—1925". (Kraków — nakł. Ks. Misjonarzy, 1925). Wytwornie wydana książka, pełna ścisłych faktów, cyfr i dat, pełna sprawozdań z poważnej działalności, da się czytać jak zajmująca powieść.

Na wstępie krótki życiorys człowieka, którego Opatrzność dziwnemi prowadziła drogi.

Bo słuchajcie. — Od ambitnych marzeń i bliskiej ich realizacji, odrywa go Bóg, by rzucić na targ niewolników w Tunisie, gdzie w pętach czekać musi „swej kolei". Potem, wyrzuconemu z mieszkania przez współlokatora pod hańbiącym zarzutem kradzieży, każe tułać się po ulicach Paryża. Dopiero, gdy cierpienie i poniewierka wypaliły w nim wszystko, co małe i samolubne, wynosi go na dwór królewski, by mu się wielcy kłaniali.

Nad sercami ludzkiemi daje mu moc niezwykłą. Dwa rodzaje bowiem nauczycieli posiada ludzkość. Jedni przedewszystkiem bliźnich swych uczyć pragną — drudzy od samych siebie zaczynają pracę. Gdy na zbrodnie świata patrzy się poprzez łzy poznania własnych błędów — to widzi sie je inaczej; tak właśnie, jak spoglądał św. Wincenty à Paulo, a z takiego wejrzenia na świat, urasta w duszy siła potężna — choć nieuchwytna — siła zniewalania, pociągania serc. — Tę siłę posiadał św. Wincenty. — To też Zgromadzenie przez niego założone, rozszerzało się szybko, niezwalczone trudnościami.

Ginęli na krzyżu Misjonarze chińscy; pod gilotyną francuskie Siostry Miłosierdzia; więziono ich, prześladowano, wypędzano zewsząd. Wszelka przemoc jednak załamywała się na tej wiecznie żywej potędze niewidzialnej.

Car Mikołaj I zwiedzając szpital św. Wincentego w Wilnie, oświadczył: „Pragnąłbym mieć Siostry Wasze we wszystkich szpitalach wojskowych, szkoda tylko, że religja stoi na przeszkodzie". „U nas niema przeszkody, bo dla nas wszyscy bliźni", odparła S. Wizytatorka. „Ale dla mnie istnieje wielka przeszkoda" odrzekł uśmiechając się car i... przysłał Siostrom propozycję przejścia na prawosławie. Odmowa — rozpoczęła dzieje prześladowania Sióstr Wileńskich.

A dziś? — Dziś 40.000 Sióstr Miłosierdzia, znacznie więcej Księży Misjonarzy, całe zastępy świeckich bractw dobroczynnych, oto wiecznie żywa rodzina św. Wincentego, oto jego pomnik niezniszczalny.

W godzinach ciemności i rozdroży, gdy nam przyjdzie wybierać między drogą miłości i pokoju — a walki i buntu, gdy zło przytłoczy, a dobro zda się odsuwać w krainę utopji, warto wtedy uprzytomnić sobie postać człowieka, który taką armję zmobilizował i mobilizuje ciągle dzięki temu właśnie, że nikogo terorem nie zmuszał i nikogo nie sądził, tylko siebie samego. *M. S.*

Klemens Bąkowski: „Kronika Krakowa od r. 1918—1923". (Kraków, Gebethner i Wolff 1925). Wbrew suchemu tytułowi, mogącemu odstraszyć młodą czytelniczkę, książkę Kl. Bąkowskiego, dzięki żywemu i barwnemu stylowi, czyta się z wielką przyjemnością i nieustającem zainteresowaniem. Wedle słów przedmowy, zawiera ona „zwięzłą kronikę ważniejszych wypadków miejscowych z pierwszych lat życia Krakowa w wolnej Ojczyźnie". Ponieważ bierze pod uwagę czasy tworzenia się i ustalania bytu państwowego Polski, wypadki, zachodzące na terenie Krakowa i pozornie to miasto tylko obchodzące, mają często znaczenie ogólnokrajowe.

Książka ta obejmuje więc nietylko kronikę samego m. Krakowa, ale całej Rzeczypospolitej w tym okresie. Jeżeli zaś, jako Polki, interesujemy się historją Polski w odległej przeszłości, to tembardziej zajmie nas krótkie sprawozdanie z lat ostatnich.

Przedstawione w 2-giej części książki wyniki działalności zarządu m. Krakowa, wykazują, jak wiele można zdziałać przy dobrej woli i wytrwałej pracy nawet wśród takich, jak ówczesne, trudności.

Dziełko to niewielkich rozmiarów (136 str.) wydane jest bardzo starannie i ozdobione ilustracjami. *M. Tr.*

Ks. Teofil Bzowski T. J.: „Gniazdo rodzinne". (Kraków 1925). Powiastka, przedstawiająca wzorową rodzinę, gdzie każdy, zarówno mały Staś, co dostał poprawkę z matematyki i tak się „poprawił", że maturę zdał z odznaczeniem, jak siostry jego, uczennice SS. Niepokalanek z Jarosławia, jak brat starszy studjujący agronomję, cicho pracująca matka, a nadewszystko ojciec, wzorowy obywatel — każdy znajduje szczęście i spokój w sumiennem spełnianiu codziennych obowiązków, w myśli, że pracą rzetelną, choć niepozorną i w ciasnem spełnianą kółku, służy się ogółowi — Ojczyźnie. — Książeczka przeznaczona głównie dla

chłopców. — Nadaje się na gwiazdkowy podarek dla braciszków.

„Duch wierzby“ legendy i baśnie japońskie, opracowała Marja Juszkiewiczowa. (Poznań — nakł. księgarni św. Wojciecha). W zbiorze tym, przenoszącym nas w krainę słońca i kwiecia, wśród uroku poezji i w grozie czynów bohaterskich, których celowość gotowiśmy czasem zakwestjonować, poznajemy szlachetną duszę narodu japońskiego, duszę, tęskniącą za Dobrem i Pięknem — przeczuwanem, odgadywanem, a niepoznanem jeszcze.

ROBOTY RĘCZNE.



Wzór do haftu:

Róg chusteczki lub serwetki.

S. Kalicka.
Gimn. SS. Urszulanek w Tarnowie.

OZDOBY NA CHOINKĘ.

Łabędź. Wyciąć z tektury łabędzia. Dziób okleić czerwonym papierem. Tułów owinąć białą watą. Oczy zrobić z czarnego jedwabiu. Nad dziobem watę pomalować na czarno. Przez środek tułowia przeciągnąć nitkę, za którą zawiesza się łabędzia.

Motyl. Z drutu zrobić foremkę motyla. Tułów owinąć wązkim paskiem czarnego aksamitu.

Wąsy również z drutu, obciągnięte czarnym jedwabiem. — Skrzydła można zrobić z jedwabnej gazy lub z bibułki malowanej po brzegach.

Dzbanek. Wydmuchać jajko. Wziąć wązki pasek papieru kolorowego. Do połowy ponacinać w kształcie liści. Te liście przykleić do jajka. Część bibułki niepociętej wystaje, tworząc szyjkę z dzióbkiem (dzióbek robi się przez zlepienie części paska). Uszko zrobić z wązkiego paska papieru.

Główka pajaca. Wydmuchać jajko, namalować wielkie, czarne oczy, brwi, usta. Na policzkach przykleić pasemka włosów. Z kolorowego, glansowanego papieru zrobić czapkę. Kryza robi się z równych kółek z cienkiej, kolorowej bibułki, pociętych do połowy na wązkie paski. Kółka zlepia się ze sobą i przylepia się do jajka.

Lalka. Z cienkiej tektury wyciąć lalkę. Przylepić kupioną główkę, którą okleja się białą lub czarną watą. Z karbowanej bibułki robi się krynolina. Przy pasku wisi na srebrnej lub złotej nitce wachlarz, zrobiony ze złożonego prostokąta.

Św. Mikołaj robi się w sposób podobny. Zamiast wachlarza, ma choinkę.

Pajączek. Wziąć trzy zapałki, związać pośrodku na krzyż. Cienką, srebrną nitką połączyć ramiona krzyża w pewnym odstępie. Na końcu każdego ramienia na cienkiej, srebrnej nitce przywiązać srebrną torebkę (prostokąt, złożony w kształcie saczka) i wkleić wewnątrz cienką bibułkę naciętą (niebieską) i zakarbowaną gorącą szpilką od włosów. Ze środka opuszcza się również torebka trochę większa.

B. C.

KALENDARZYK OGRODNICZY.

Grudzień.

A). *W ogrodzie owocowym.*

Zbierać zrazy z drzew owocowych. O ile mrozy pozwolą, szorować drzewa szczotkami roztworem 10% szarego mydła w wodzie. Kopać doły do wiosennego sadzenia. Stare drzewa karczować, rozwozić mierzwę do wiosennego gnojenia sadu. Zaprowadzić kontrolę drzew, przygotowywać plany, etykiety i napisy. W piwnicach z owocami, utrzymywać temperaturę $+3^{0}$ R.

B). *W ogrodzie warzywnym.*

Założyć ciepły inspekt do pędzenia szczawiu i szczypiorku. Nawozić szparagi, zakładać grzędy pieczarkowe.

C). *W ogrodzie ozdobnym i kwiatowym.*

Poprawiać drogi w ogrodzie, o ile to możliwe. Przygotowywać tabliczki i paliki do roślin, robić maty. — W szklarniach zimnych utrzymywać temperat. około $+4^{0}$ R, w cieplarniach $+12^{0}$ R. Rośliny liściaste zmywać gąbkami, oczyszczać z robactwa, pleśni i zgnilizny. Dla wygubienia mszyc, skropić rośliny wodą za pomocą sikawki i wykadzić na noc tytoniem. — Podlewać bardzo umiarkowanie, zwłaszcza w zimnej szklarni. Wypisywać nasiona do siewu wiosennego. Mnożyć rośliny szklarniowe. Rozpocząć pędzenie konwalij, hjacentów, tulipanów, tacetów, azalij, kamelij i róż. Hortensje i Spiraca wynieść z piwnicy, stopniowo przyzwyczajając do coraz wyższej temperatury, do cieplarni.

PORADNIK GOSPODARCZY.

Oszczędne strucle. 2 dkg drożdży rozrobić w $^{1}/_{4}$ l. mleka, wsypać 20 dkg mąki pszennej i łyżką dobrze rozcierać, aby grudek nie było. Zostawić w cieple przez 2 godziny, aby dobrze podrosło. Gdy rozczyn się ruszy, wsypać łyżeczkę soli, 25 dkg mąki pszennej, 4 dkg cukru, wlać 4 dkg roztopionego masła i wyrabiać rękoma. Gdy ciasto od ręki odstaje, zrobić strucelki, dać na blachę posmarowaną masłem i wysypaną bułką, a gdy podrośnie, posmarować jajem albo mlekiem i wstawić na pół godziny do gorącego pieca.

U w a g a: Gorącość pieca reguluje się podług ciasta mającego się piec. Ciężkie ciasto (n. p. chleb) powinno mieć pierwszy stopień gorąca, t. j. 120^{0} Celsiusza, lekkie ciasto (bułki, baby i t. p.) wymaga 115^{0} Celsiusza. Kto nie ma termometru, może próbować stopień gorąca białym papierem, który wkłada się do gorącego pieca. Jeżeli papier pożółknie po 3 minutach, to piec jest gorący na 120^{0} C., a jeżeli po 5 minutach, to ma 115^{0} C. gorąca.

Pierniki „całuski". 14 dkg białej mąki pszennej, 10 dkg cukru, sody na koniec noża, nieco korzeni, t. j. goździków i cynamonu, przesiać razem. Do tej mieszaniny wlać 1 łyżkę miodu, wbić 2 żółtka, dodać otartą skórkę z cytryny i miesić na twarde ciasto. Odstawić na 15—20 minut, potem utaczać, foremką wy-

krawać okrągłe pierniczki, ułożyć na posmarowaną blachę, posmarować jajem, posypać grubo tłuczonym cukrem albo na każdy pierniczek położyć połówkę orzecha laskowego i wstawić do umiarkowanie gorącego pieca.

Tort z bakalij. 25 dkg cukru, 4 żółtka, utrzeć razem na białą, gęstą masę, dodać 25 dkg orzechów włoskich zmielonych, 10 dkg daktyli pokrajanych w paski, 10 dkg rodzynków, 5 dkg smażonej skórki pomarańczowej, 10 dkg konfitur dobrze osączonych, n. p. moreli, róży, wiśni i t. p., sok z 1 cytryny, 5 dkg tartej czekolady i pianę twardo ubitą z 4 białek. Wszystko razem starannie wymięszać, wlać do tortownicy wysmarowanej i bułką wysypanej i piec w gorącym piecu. Lukruje się lukrem czekoladowym.

Lukier czekoladowy. Dwie łyżki słodkiej śmietanki, łyżeczkę świeżego masła, 12 dkg cukru (mączki) i 12 dkg tartej czekolady gotować na wolnym ogniu, ciągle mięszając. Gdy się wygotuje tak, że lukier zaczyna się ciągnąć, wtedy zdjąć go z kuchni i polewać tem tort; nie smarować, tylko polewać, obracając tortem, by płyn się sam wokoło równo oblał. Boki tortu smarować za pomocą noża.

Juliuszowa Albinowska.

OD REDAKCJI.

Nagrodę za łamigłówki i rebusy bardzo staranne, otrzymują tym razem: **Zosia Hryniewiecka z Poznania, Jadzia Popielówna ze Stryja i Hala Wielowiejska z Krakowa.**

Pomysłowością i starannością w wykonaniu odznaczyły się: **Stefa Lisowska, Elżbieta Lubaczewska, Jadzia Brachówna, Janinka Toeperówna ze Stryja** i **Nusia Lewicka ze Stanisławowa.**

Gdyby **Stokrótka** była częściej rozwiązania i łamigłówki przysyłała, z pewnością zdobyłaby nagrodę. Świadczy o tem ostatni rebus bardzo ładnie wyrysowany.

Taką samą odpowiedź w sprawie rebusów daję **Normie z Ostrowa i Lili ze Stanisławowa.**

A czemu to **Królewna poziomek i paproci** — z chwilą wybrania pseudonimu — przestała pisywać do redakcji? — Czekam na Twe łamigłówki.

Bardzo wiele dobrych i starannie ułożonych łamigłówek czekać jeszcze musi swej kolejki. W najbliższych numerach ukażą się pewno łamigłówki **Wandzi O. z Poznania** oraz **Aji i Hanki z Tarnowa, Anulki i Gabci Cz. z Rzymu.**

Niektóre zagadki i łamigłówki, choć bez błędu i starannie ułożone, drukowane być nie mogą bo są zbyt podobne do tych, które już były podawane. Kto chce prędko doczekać się druku niech wymyśla rzeczy oryginalne.

W staraniu o formę zewnętrzną, tak w listach do redakcji, jak w pracach i łamigłówkach, widzę znaczny postęp. Niektóre Czytelniczki nawet zadużo pracy sobie zadają przysyłając każdą łamigłówkę na osobnej ładnie wyciętej karteczce. — Nie o to chodzi. — Trzeba tylko, żeby wszystkie nowe łamigłówki, ich rozwiązania, oraz rozwiązania łamigłówek z danego numeru, były na osobnej kartce, jednej, lub kilku — a **list** do redakcji, na osobnej.

A listów możecie przysyłać dużo — i nigdy nie obawiać się, że „nudzicie", gdy szczerze piszecie o tem co was zajmuje.

Prace literackie — **Janutko**, możecie przysyłać też na dowolne tematy. Redakcja poddaje tylko tematy o ile chcecie z nich skorzystać. Komu np. wydaje się za trudną pracą porównanie powieści „Kresowych" Szczuckiej, Dorożyńskiej i Kozickiej — może śmiało przysłać co innego choć tego jeszcze nie napisał.

Z wielkiem zajęciem czytam zawsze Twoje listy **Marysiu G. z Warszawy.** Dużo w nich ciekawych wiadomości — i dużo serca. Jakże Ci idzie praca nad „Gwiazdką" dla żołnierzy?— Czy dużo już „woreczków" uszyłyście? Bardzo mi się podoba to składanie drobnych oszczędności na cele ogólne. Masz słuszność, gdyby w każdej szkole, każda uczennica i każdy uczeń choć po parę groszy miesięcznie złożył — to możnaby w krótkim czasie zebrać wielkie sumy na potrzeby ogółu.

Gdyby... ale czy to tak trudno? Przecież zawsze łatwiej jest zrobić coś wspólnemi siłami niż samemu, trzeba tylko jasno cel określić i zgodnie, a wytrwale zdążać.

Wśród listów Waszych z zajęciem wielkiem czytuję zwykle te, które piszą o „Dziś i Jutro" — wymieniają artykuły, które się więcej podobają — podają projekty, zmiany, lub dodatku czegoś w tem pisemku. — Lubię także listy i chciałabym mieć ich jak najwięcej, bo to pomaga do redagowania pisma ku ogólnemu zadowoleniu. Wyrazów zadowolenia mamy sporo, ale chciałabym mieć ich jeszcze więcej! — Więc piszcie na ten temat dużo. — Jakich artykułów chciałybyście mieć więcej w przyszłym roku? — Co chciałybyście dodać? co ująć?

Z początkiem nowego roku

„Dziś i Jutro" zacznie wychodzić dwa razy na miesiąc,

częściej więc będzie można listy wymieniać.

Ta inowacja pozwala też na wprowadzenie nowej rubryki do naszego pisemka — działu **korespondencji bezimiennej** — a raczej **pseudonimowej**.

W dziale tym będą więc ogłaszane listy i zapytania, skierowywane nietylko do redakcji, lecz do innych czytelniczek „Dziś i Jutro". — Na początek można wybrać sobie którą z czytelniczek, znanych z imion wymienianych w „**Odpowiedziach od Redakcji**" — lub też odrazu „do wszystkich" zwrócić się z jakiem zapytaniem, a zapytana winna odpowiedzieć na ręce Redakcji. — Jeśli z odpowiedzią zwlekać nie będzie, to ją zdoła się wydrukować w najbliższym numerze.

Tak pytania, jak odpowiedzi, podpisane być mają przybranemi imionami-pseudonimami. — Stawiać można pytania poważne i żartobliwe, co kto woli.

Jak nazwać ten dział w naszem pisemku? Zostawiam to czytelniczkom do rozstrzygnięcia i oczekuję licznych pytań. — List na kopercie adresować należy jak zwykle do Redakcji, ale wewnątrz, list czy pytanie skierować do tej osoby, od której pragnie się otrzymać odpowiedź.

NASZE SZKOŁY.

Gimnazjum w Wilnie.

O WAŻNOŚCI MORZA DLA POLSKI.

„Wolnością morską państwo ku górze się wznosi, tak i my mamy ku górze się wznieść".

Już czterysta z górą lat upływa od wypowiedzenia tych słów przez siostrę króla Zygmunta Augusta, Annę Jagiellonkę, która bystrym umysłem przejrzała korzyści, płynące z posiadania dostępu do morza.

Teraz, gdy dążeniem naszem powinno być utrzymanie odzyskanej wolności, ze zdziwieniem można zauważyć brak zrozumienia i zainteresowania się ogółu narodu sprawą dostępu do morza. Choć niewielki jest ten kawałek piaszczystego wybrzeża, choć tysiące przeszkód piętrzy się przed utworzeniem naszej marynarki, przed zbudowaniem własnego portu, jednak, podniecani myślą o nieocenionych korzyściach, jakie wypłyną z posiadania morza, powinniśmy wytrwale dążyć do rozwoju naszej żeglugi. Powinniśmy te szare fale Bałtyku i ten kawałeczek wybrzeża tak ukochać, aby przemoc wrogów nie zdołała nam go wydrzeć.

Jakże wiernie i nieustannie szumi nam morze, opowiadając o naszej przeszłości! Jakąż chwałę i potęgę obiecuje na przyszłość!

Szumią fale o przodkach naszych walczących ofiarnie o ten brzeg pomorski z krzyżacką przemocą; opowiadają o dzielnych Kaprach, którzy broniąc Polski na falach Bałtyku, zginęli, pomordowani zdradziecką ręką zgermanizowanych rodaków z Gdańska, opowiadają o świetnem zwycięstwie floty króla polskiego pod Oliwą i o smutnym jej upadku.

Przypomina morze, wiele imion zapomnianych, lecz zasłużonych bohaterów, jak np.: Chodkiewicza, Jana z Kolna, Jakimowskiego i wielu innych.

Z jękiem skarżą się fale na brak zainteresowania się niemi ze strony społeczeństwa polskiego i na oddanie wybrzeża prusakom, którzy odtąd wiek przeszło władali niem brutalnie.

Dziś szmerem cichym wypowiadają fale swą radość z powodu ponownego połączenią się ze swym prawowitym i odwiecznym właścicielem i przyrzekają mu wiele, wiele korzyści. Opowiadają o tem, jak przenosić będą handlowe okręty polskie, wiozące ze świata żelazo, amunicję i inne potrzebne Polsce materjały, wywożąc wzamian za to z kraju węgiel, zboże, naftę i wiele innych artykułów, zbywających w naszej Ojczyźnie.

Nikt nie będzie miał prawa nakładać podatków przewozu, czy też jakichkolwiek ceł bez zezwolenia Polski. Będą więc wzbogacać się polskie przedsiębiorstwa handlowe, dostarczające rodakom tańszych, bo nieoclonych towarów i mające dozwolony zbyt swych produktów na rynkach wszelkich państw na świecie.

Obiecuje nam morze, że w razie wojny przenosić będzie wojenne statki z pomocą państw sprzymierzonych i statki ojczyste, aby mogły bronić swej rodzinnej ziemi i nadać jej jeszcze większą potęgę i sławę przez obronę uciśnionych narodów, lub przez tworzenie własnych, polskich kolonij.

Zapewniają nas fale, że od strony morza mniej należy obawiać się napadu wroga, niż

od granic odsłoniętych, których posiadamy zbyt wiele.

Z hukiem spienionych fal wyrzuca morze na brzeg kilka rybek, jakby chciało nam przez to powiedzieć: — Daję ci ziemio kochana, moje rybki, które wypieściłem na własnem łonie, dzieci, które wychowałom od maleństwa. Daję ci je, ziemio rodzinna, boś ty mi stokroć milsza. Bierz je, Polsko, dla ubogich dzieci rybackich, daj zatrudnienie tysiącom robotników w fabrykach konserw, narzędzi rybackich, okrętów". Rozumieją fale iż tym jedynie sposobem rozwiniemy jeszcze jedną gałąź naszego przemysłu, damy chleb i pracę bezrobotnym i wzbogacimy się wywozem produktów naszej pracy.

Wylicza morze wielu uczonych, którzy zabiorą się do pracy w dziedziczeniu nowej nauki, oceanografji i swemi odkryciami przyniosą Ojczyźnie niezwykłą sławę.

Wskazuje morze całe szeregi kalek i chorych odzyskujących zdrowie, wzmacniających siły — wśród ożywczego powietrza jego brzegów.

Zdumieni tak licznemi korzyściami, mimowoli rzucamy pytanie: „Czemże wam drogocenne fale, odpłacimy? Jak zdołamy wam odwdzięczyć się?"

W głębi duszy posłyszymy odpowiedź: „Trzeba, by każdy wziął się do wytężonej pracy, by móc te wszystkie dobra wydobyć z fal, wyzyskać i utrzymać. Trzeba by Polak stworzył silną marynarkę wojenną, by mógł obronić kochane morze, by nie oddał nieprzeliczonych skarbów fal Bałtyku na łup chciwej ręki okrutnego zaborcy".

A gdy się to spełni, wówczas dopiero możemy powiedzieć, że Polska złączyła się nierozdzielnie ze swem morzem. *Cz. Zg.*

Gimnazjum SS. Urszulanek w Stanisławowie.

Z NIEDALEKIEJ PRZESZŁOŚCI.

Całe miasto czeka. Bez rządu, bez żadnej opieki pozostawione — wre ciekawością i niepokojem.

— Kto teraz przyjdzie? — Jak nam będzie?

— A może to już Polacy? — Och! Boże, żeby tylko nie bolszewicy! — Wokół sypią się podobne pytania.

— Ach, ileż to już razy w tym miesiącu zmieniali się rządcy naszego miasta! Pamiętacie? Petlura, bolszewicy, denikińcy, znów ci sami i znów inni! A słyszeliście o tem, że podobno mają być tu w pobliżu jacyś Zieloni? Ciekawa nazwa?

— Ach, Zieloni, czy Czerwoni, wszyscy oni jednacy!

— Idą już!... Idą... Kto?... Gdzie?... Na miłość boską, strzały słychać! Już są na górze, pod miastem, zaraz będzie można ich zobaczyć!

— Ale kto? Nie wiecie?

— Nie wiadomo, mówią, że Ukraińcy.

— Ukraińcy? to nie możliwe, przecież oni dopiero wczoraj miasto opuścili, czyżby wracali?

— Cicho! Słychać śpiew. zaraz poznamy!

— — — — — — — — — — — — —

Zdala słychać, jak śpiewają:

„Stawaj, podnimaj sia raboczij narod"...

— O Jezu!... Bolszewicy!... Patrzcie, już widać! — O! czerwona płachta! tak, to oni...

— Źle z nami.

— Chodźcie do domu.

* * *

Zasiedliśmy w ponurem milczeniu do obiadu. Wtem drzwi z hałasem otwierają się, wpada „towariszcz" i pięciu za nim, wtłacza się do pokoju.

— Skolko u was dusz?

— Jak pan widzi, nasza rodzina składa się z siedmiu osób.

— A komnat dwie, zanimajem odnu.

— Ależ proszę pana, to jest wprost niemożliwem, ażeby tak liczna rodzina w jednym, małym pokoju...

— Mołczi! tak budiet, kak my zdiełajem — towariszczi idióm... — prijdióm pośle.

Wynoszą się, pozostawiając za sobą przerażone i zmartwlone twarze, z oczyma łez pełnemi.

— Mamusiu, jaki ten pierwszy. miał błyszczący rewolwer za pasem i czapkę baranią, strasznie dużą. Dlaczego oni w lecie ją noszą? Czy im nie gorąco?

— Gorąco, dziecko — odpowiada matka, nie myśląc w tej chwili zupełnie o czapce bolszewickiej.

Nad wieczorem zbiera się kółko znajomych, prowadzi się cicha rozmowa.

— Czy u pani zajęli już mieszkanie?

— Ach! mój Boże! — żali się pani B. — na nieszczęście nasze, proszę pani, mamy aż cztery pokoje, a nas jest troje, kucharz i służąca. Przyszło ich sześciu, jeden z rewolwerem bez pochwy za pasem, w ogromnej czapce baraniej na głowie, taki miał straszny wyraz twarzy..

— To u mnie ci sami byli, chciał mój mąż jakoś wymówić się, że nas tak dużo, ale do słowa nie dali przyjść i zapowiedzieli, że później przyjdą, a co pani powiedzieli?

— U mnie zostawili swoje tłumoki, rozgościli się w dwóch pokojach, kazali dać sobie obiad, wódki dnżo, potem poszli, zapowiadając, że przyjdą na noc.

* * *

Cicho w mieście. Do nas na kwaterę nikt nie przyszedł. Noc przeszła spokojnie. Jeszcze bardzo wcześnie, na ulicach nikogo prawie nie widać.

Wtem słychać szybkie kroki, ktoś przebiegł koło domu! O znowu! Jakieś głosy. Potem cicho.

Ktoś zapukał do drzwi natarczywie, głośno.

— Kto tam? — To ja, puśćcie!

— Tatuś! otwórzcie! Otwieram.

— Cóż, w mieście spokojnie?

— Ale gdzie tam, to wy nic nie wiecie? Całe miasto już wie, boją się wyjść na ulicę. Straszne morderstwo! Cały dom pp. B. trupami usłany!...

— Co się stało? Co? Dlaczego? Kto?

Jezus, Marja, czy to możliwe?

— Czy to możliwe?

— Niestety! Jak wiecie u pp. B. stanęło na kwaterze sześciu i mieli przyjść na noc, tymczasem, gdy do późna nie przychodzili, zamknięto drzwi i ułożono się do snu. W nocy o pierwszej godzinie ktoś puka kułakami do drzwi. Pan B. wychodzi i pyta kto to? „Pust'i to my pryszl'i spat'" odpowiadają. Pan B. otwiera drzwi. Pierwszy z nich z szablą w ręku rzuca się na przerażonego pana B. i jednem strasznem cięciem rozpłatał mu brzuch. Reszta rzuciła się do pokoi i kuchni. Panią B. zabili kulą rewolwerową i posiekali szablami. Kucharzowi czaszkę rozbili, tak że mózg z krwią aż na ścianach się znalazł, synowi nogę przestrzelili, biedak zaś wyskoczył przez okno, przez płot na ulicę, wśród ciemnej nocy zdołał umknąć i ukryć się w domu u znajomych. Służąca, której na razie nie zauważono, schowała się pod łóżko i ona to opowiadała cały przebieg owej strasznej nocy.

A teraz przed tym domem ludzie strwożeni zbiegają się. Krew tam dookoła i na płocie i wzdłuż ulicy, kędy uciekał ich nieszczęśliwy syn. Wszędzie... wszędzie krew!

— Chodźmy i my tam. Pomodlimy się za dusze nieszczęśliwych.

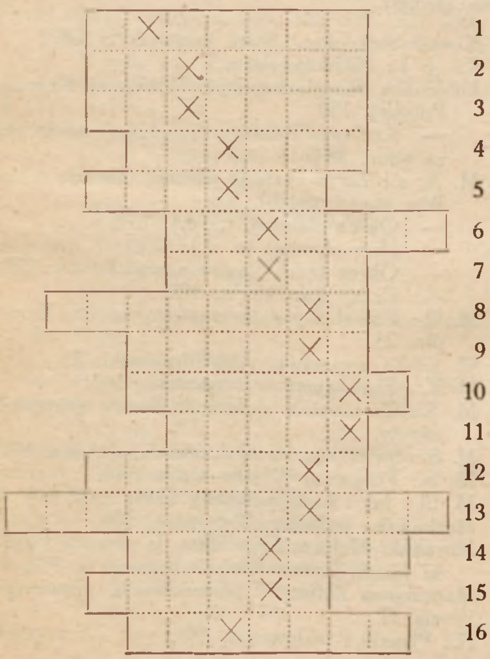
Poszliśmy...

„Podolanka".

ŁAMIGŁÓWKI SZARADY.

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA

(ułożyła J. Toepperówna).



Litery, zastępujące miejsce X czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko wielkiego poety polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Powieść M. Rodziewiczówny.
2. Utwór Z. Krasińskiego.
3. Utwór J. Korzeniowskiego.
4. Komedja A. Fredry.
5. Powieść K. Glińskiego.
6. Utwór J. Słowackiego.
7. Sławna powieść H. Sienkiewicza.
8. Utwór Z. Krasińskiego.
9. Utwór W. Pola.
10. Utwór J. Słowackiego.
11. Kasyda A. Mickiewicza.
12. Utwór poetycki Ign. Krasickiego.
13. Powieść I. Kraszewskiego.
14. Sielanka K. Brodzińskiego.
15. Utwór J. Kochanowskiego.
16. Nowelka B. Prusa.

SZARADA (ułożyła A. Nagórska).

Dwie pierwsze są częścią potężnego dębu,
Co cieniem uroczystym błogosławi ziemi.
Trzecie — tnie srebrne giezło skał chrobrego [zrębu,
I z orłami się ściga rzutami śmiałemi;
Zaś razem, są mianem dostojnego męża,
Co blaskiem wielkiej myśli, ciemność przezwy- [cięża.

ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK z Nr. 11.

ŁAMIGŁÓWKA KRZYŻYKOWA

A	g	a	t	a			z	ł	o	t	o
r	ę	k	a		n	y		ż	u	b	r
a	l	a		t	a	j	o		t	a	k
b	o		i	n			e	n		l	a
		t	a	r	n	o	p	o	l		
b	o	a		o	b	ó	z		l	e	n
m	e	r	k	a	n	t	y	l	i	z	m
		g		k	r	ó	l		s		

ŁAMIGŁÓWKA

			e	j
		l	e	j
	o	l	e	j
k	o	l	e	j

ARYTMOGRAF

Kijów
Sumatra
Chicago
k
Aconcagny
Portorico
o
Urugwaj
Jukatan
Kongo

REBUS.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Spis rzeczy zawartych w I. roczniku „Dziś i Jutro“.

(Cyfra oznacza stronę).

I. Artykuły treści religijnej, naukowej, społecznej i t. d.

II. Życiorysy.

III. Powieści i opowiadania.

IV. Utwory liryczne.

V. Recenzje.

Czasopisma.

VI. Wiadomości bieżące, kronika muzyczna.

VII. Kalendarzyk ogrodniczy.

VIII. Poradnik Gospodarczy i rady praktyczne.

IX. Prace ręczne i mody.

X. Szarady i łamigłówki. Żarciki, przysłowia i prognostyki ludowe.

XI. Nasze szkoły.

1. Sprawozdania z życia szkolnego.

2. Utwory literackie.

TREŚĆ Nr. 12.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*

DRUKARNIA POLSKA
KRAKÓW